Nr. 24. Kraków, dnia 12 czerwca 1910. ROK 1.

TYGODNIK ILUSTROWANY NARODOWY

Idzie czas Grunwaldu...

...Idzie czas Grunwaldu. Kilka dni a staniemy w obliczu rocznicy grunwaldzkiej.

Należy ją uczcić godnie i dostojnie. To nie może być płocha i krzykliwa manifestacya, ale obchód pełen powagi i skupienia wewnętrznego. Przez obchody tegoroczne głęboko w świadomość ogółu wniknąć powinno i wniknąć musi znaczenie bitwy grunwaldzkiej i okresu rozrostu Polski za Jagiellonów.

Rozliczne obchody walk powstańczych, to obchody czczące przeszłość smutną i nie-zwycięską. Każdy ruch przez nas czczony kończył się pogromem i klęską; żadna akcya nie dopięła swego celu ostatecznego, a każda z nich sprowadzała pogorszenie stosunków.

A bodaj przez ciągłe nawiązywania życia współczesnego do dziejów porozbiorowych, więcej mających kart smutnych i bolesnych, niż jasnych i pełnych nadziei — bodaj przez to tracimy ciągłość z tą przeszłością, kiedy staliśmy niemal na czele Europy, kiedy państwo polskie pławiło się w potędze i sławie.

My czucia silnego z epoką wielkiej i potężnej Polski nie mamy. Zatraca się nam niejako obraz Polski, budowanej mozolnie przez Kazimierza Wielkiego, zaczątku rozwoju państwowości naszej; zatraca się nam największy rozwój Polski za Zygmuntów; zamierają w nas poniekąd wspomnienia rozgłośnej przeszłości, potężnej swym ogromem i wielkością.

Grunwald jest fundamentem wielkości Polski.

Gdyby nie on, nie byłoby ani Unii z Litwą i Rusią, a i rozrostu naszego państwa i układ stosunków politycznych zmieniłby się zupełnie.

Oddajemy hołd wielkiej przeszłości, czcząc rocznicę Grunwaldzką i nawiązujemy nasze życie bieżące do zawsze promiennych i wielkich przykładów. W uroczystościach zatem naszych pierwiastek majestatu Przeszłości musi się więc wyrazić w powadze dostojnej uroczystości, w ogromnem skupieniu dusz, czyniącem hołd Grunwaldowi.

Już się zaczęły w kraju obchody Grunwaldzkie.

Na treść ich składają się przedewszystkiem wykłady okolicznościowe, śpiewy, deklamacye; program więc ich nie daleko odbiega od schematu naszych stereotypowych wieczorów i obchodów narodowych.

W wielu jednak miejscach obchody przybrały formę specyalną i godną naśladowania. Zwłaszcza w okolicy Rzeszowa i Lwowa. Pamięć obecnie urządzanych tam obchodów narodowych usiłuje się utrwalić przez zasadzanie *dębów* grunwaldzkich-przez ustanawianie *kamieni* grunwaldzkich z odpowiednim napisem, wogóle przez uwiecznienie ich w formie jakichkolwiek pomników.

Pomnikami takimi staną się także *bursy* grunwaldzkie i *domy ludowe* grunwaldzkie, jakie Towarzystwo szkoły ludowej tu i owdzie funduje.

Akcya dotychczasowa idzie atoli za powoli. Wiemy o tem, że ludzie złej woli stawiają rozmaite, istniejące możliwe przeszkody: jesteśmy atoli pewni, że wszystko to może zmódz energia społeczna.

Co prawda, nie objawia się ona dotąd w społeczeństwie ruchem mocnym i żywiołowym. Stagnacya ta bodaj czy nie jest spowodowana temi rozlicznemi przeszkodami, jakiemi obecnie skrępowane jest nasze życie narodowe.

Energię i żywotność ogółu obudzić jest pierwszem zadaniem naszem. Uczynić to można przedewszystkiem przez urządzenie szeregu obchodów w całym kraju. Nie może być ani jednego miasta, ani jednej wsi, gdzieby nie urządzono obchodów grunwaldzkich.

Prelegentom i ludziom urządzającym obchody, aby ułatwić oryentacyę w literaturze grunwaldzkiej, podajemy spis wyszłych publikacyi.

Przedewszystkiem polecamy Jasława z Bratkowa: „Grunwald“, wydanie poznańskie, które

Tygodnik Narodowy niejednokrotnie przeznaczał na premie; jest to duża książka, opatrzona bardzo pięknymi obrazkami; niektóre ustępy możnaby odczytać osobno.

Obok tego nie może przy żadnym odczycie braknąć obrazu bitwy grunwaldzkiej, skreślonego przez naszego największego pisarza Henryka Sienkiewicza w powieści: „Krzyżacy". Wydawcy tej powieści, aby ją udostępnić, ogłosili ją obecnie w taniem wydaniu, kosztującem tylko kilka koron. „Krzyżacy" powinni znaleźć się w każdej czytelni, w każdem Kółku rolniczem i w każdej rodzinie polskiej.

Staraniem „Macierzy Polskiej" wyszła piękna książka Wiktora Czermaka „Grunwald", opatrzona licznemi rycinami, a także ustępami nadająca się do odczytów. Cena książki przystępna, 1 kor. Jest to najlepsza książka historyczna o wielkiem zwycięstwie naszem.

Huberta Wadzicza „Grunwald" przedstawia popularnie tło bitwy Grunwaldzkiej; rzecz krótka a pisana z siłą nadaje się jako odczyt na obchody.

Rozmaite inne są jeszcze prace: Jan Szkodziński wydał dla ludu i młodzieży Grunwald, dla młodzieży dzieje grunwaldzkie opowiedziała Zofia Stankiewiczowa, Sokół w Podgórzu wydał „Sławę Polski" (Płowce, Grunwald, Hołd pruski) w opracowaniu T. S.

Także i w poezyi grunwaldzka rocznica znalazła swój wyraz: Marya Bogusławska wydała obrazki sceniczne: Sąd Europy i Na polach Grunwaldu, przeznaczone dla młodzieży, ale dla niej się nie nadające; Stanisław Wajda wydał wiersze p. t. Grunwald; tu wybijają się na czoło rzeczy innych, wiersze i sztuczki Jadwigi *Strokowej* które w kraju powinny znaleść najszersze wzięcie. Co do jej prac, najlepiej pisać wprost do autorki: Jadwiga Strokowa, Kraków, Kilińskiego 5.

Gdyby zaś znalazły się w jakiej miejscowości w kraju osoby, któreby zechciały zająć się obchodem grunwaldzkim, niechaj nasamprzód zgłoszą się do miejscowego lub powiatowego Koła Tow. Szkoły ludowej, albo wprost do krajowego komitetu grunwaldzkiego w Krakowie.

Idzie czas Grunwaldu. Dostojnej przeszłości należy hołd oddać należny!

Nowa organizacya żydowska.

Piszą nam z Przemyśla:

W wychodzącym w Krakowie żargonowym dzienniku żydowskim „Der Tag" znalazłem w jednym z ostatnich numerów wiadomość o mającej powstać nowej organizacyi żydowskiej pod nazwą: „Żydowska partya ludowa". Zadaniem jej będzie „ochrona praw żydowskich, jako obywateli, stworzenie nowych źródeł zarobku i możności egzystencyi najszerszych mas ludowych, podniesienie kulturalne i wzmacnianie w ciężkiej walce o byt".

W sferze jej zamiarów leży założenie osobnego banku żydowskiego, z filiami po prowincyi, aby niezamożnym żydom umożliwić otrzymanie potrzebnych kapitałów kupcom i rzemieślnikom; założyć ma również nowa partya instytucye kulturalne, jak biblioteki, gimnastyczne itd.

Właściwie nasby nie wiele obchodziło powstanie nowej partyi żydowskiej. Mamy w kraju już dosyć syonistów i separatystów żydowskich.

Ale w tworzeniu tej właśnie partyi żydowskiej ludowej leży pewna tajemnica.

Odezwę jej ogłasza żargonowy „Der Tag". Kto poza nim stoi? Mówią, że stoją asymilatorzy nasi, tacy jak dr. Loewenstein i Aschkenase. W tej formie usiłują wkupić się w zaufanie mas żydowskich i pozyskiwać je dla polskości. Nowa więc partya ma być organizacyą kulturalną przedewszystkiem i gospodarczą.

Kto właściwie robi tę partyę i dla kogo? Czy asymilatorzy, żydzi-Polacy stwarzają organizacyę mas żydowskich? Jeżeli tak, dlaczego przez stworzenie separatystycznych organizacyi szerzą separatyzm?

Żydzi asymilatorzy podczas wyborów parlamentarnych w r. 1907. utworzyli własną organizacyę wyborczą, a potem wprost narzucali nam tytułem swej „polskości" kandydatów żydowskich. Wskutek takiej polityki przechodzili socyaliści!

Czyż i obecnie nowa organizacya żydowska ma na celu wymuszanie nowych ustępstw na Polakach? Żydzi-Polacy mając masy zorganizowane coraz bardziej będą domagali się uznania najrozmaitszych ich żądań. Dowody dawali nieraz, a ostatnie żądania ich w sprawie szynkarskiej koncesyi są aż nadto znane.

Mamy obowiązek domagać się z tamtej strony jasnego postawienia rzeczy. Chcemy wierzyć, z kim mamy do czynienia. Obawy bowiem rosną w społeczeństwie, że wszyscy wielcy „asymilatorzy to przedewszystkiem żydzi, dbający o swój interes, a potem Polacy „na gębę".

Od takich przyjaciół chroń nas, Panie.

Stefan J.

Lecz zaklinam niech żywi nie tracą nadziei!

„Zniechęcenie bardzo wiele złego czyni i prawdziwa jest sztuka w zachowaniu równowagi między żadnem a zbytecznem ufaniem sobie“. — (Tańska).

Na każdym kroku spotykamy ludzi, którzy nas rażą swojem kalectwem duchowem.

Jedni z nich, którzy nie ufają sami sobie.

Drudzy, którzy zanadto w swe siły wierzą.

I jedni i drudzy są jak złe ziarno, z którego plony stają się tem szkodliwsze, im są trudniejsze do wyplenienia.

— Ja chciałbym być czemś więcej jak tylko zarabiaczem na chleb, ale wiem, iż bardzo trudno każda praca narodowa idzie, dlatego pracować nie zaczynam, mówi kupiec lub rzemieślnik.

— Zaczynałem, zaczynałem kilka razy, ale nie na moje siły taka praca, rzeknie znów inny. Tylko niektóre jednostki mają do tego szczególny dar i utalentowanie, tylko niektóre jednostki umieją znaleźć i drogę i środki wiodące do celu, powtarza inna jednostka.

— Mnie się nic nie wiedzie, nic mi się nie uda, mam nieszczęśliwą rękę, znowu inna osoba narzeka.

Zaś są tacy, którzy powiadają:

— Gdyby inne okoliczności, inne warunki, możnaby zacząć, ale w dzisiejszem położeniu nie da się nic zrobić.

Zniechęcenie jak zaraźliwa choroba, toczy nasz organizm i jak grad niweczy nawet te plony, które wzeszły po pracy innych.

Zniechęcenie gorsze czyni spustoszenie od szarańczy i ognia, od przejścia armii nieprzyjacielskiej, od złoczyńców czyhających na łupy.

A my niebezpieczeństwa tego nie widzimy i sami swego szkodliwego działania nie oceniamy.

Gdybyż tylko ci, którzy są chorzy na „zniechęcenie“ sami nic nie robili! Ale oni jeszcze uważają za swój obowiązek drugich zniechęcić do wszelkiej pracy i wstrzymać od zapału i poświęceń.

— Chce ci się pracować? pytają tacy zniechęceni i zimni... poco? dla kogo? Co z tego za plon będzie? Umęczysz się, utrudzisz, wytężysz, wiele sił, a w nagrodę otrzymasz jeszcze krytykę.

Z takiego siewu zniechęcenia plon jest wprost straszny. Ludzie cofają się, wstrzymują, lęku dziwnego nabierają i stają się, jak rzekł Słowacki „zjadaczami chleba“ — nie spełniając żadnych obowiązków wobec narodu i Ojczyzny — żyjąc tylko po to, ażeby istnieć, lecz nic nie wykonać na jutro.

Zniechęcenie nie wzeszło wśród nas nagle i niespodziewanie. Nie rzucił ziarn tego chwastu strasznego wicher, nie posiały go zioła lub drzewa.

Byli tacy, którzy starali się o to, ażebyśmy nie mieli wiary w własne siły. Chodzili to siewcy ukryci i powoli krok za krokiem, ziarnko po ziarnku rzucali zniechęcenie, bo wiedzieli, iż z tego plon będzie bardzo korzystny dla tych, którym słabość i niemoc nasza potrzebna.

Gdyby każdy z nas spojrzał raz w oblicze zniechęcenia, przeląkł by się jak potwora i wołałby słowy poetki:

Z mej odwagi, z mej mocy
Brzask się czyni wśród nocy!

— A tyle co dziś skrzeszę, jutro będzie dnia. A tego dnia trzeba na życie milionów, a tego dnia trzeba na szczęście i wolność ludu, a tego dnia trzeba na spełnienie najświętszych obowiązków wobec dzieci naszych, które po nas przyjdą i pytać będą: — Żaliż nic nad zniechęcenie nam nie zostawiliście?

Gdy mróz ciśnie do wnętrza naszych mieszkań zatykamy okna, otulamy ściany i palimy ogień, ażeby zwalczać gościa szkodliwego.

Tak powinniśmy czynić wobec zniechęcenia. Zamknąć uszy, ogrzać serce i z mocą pracę podejmować.

Nie czyńmy nic dla chwały lub poklasku, lecz czyńmy dla tego, by dzień był jasny i naród by stawał się pełen sił duchowych, a wtedy przekonamy się, iż da się wiele zrobić i w najtrudniejszych okolicznościach i w najcięższych warunkach.

Każdy zaś rys zniechęcenia uważajmy za plamę i obmywajmy się z niego jak z brudu.

Ilekroć usłyszymy kogoś czy wśród rodziny, czy dalszych, powtarzającego owo wieczne! — Nie mogę! lub: nie umiem! tylekroć wytężajmy pracę na to, ażeby przekonać słabych, iż wszystko mogą ci, którzy chcą...

Z mej odwagi, z mej mocy
Brzask się czyni wśród nocy.

Więc światła i jasności jak najwięcej... zwyciężą ci, którzy wierzyć w swe siły będą.

„Kto się uniewinnia, oskarża się.“

Uniewinnienia — tłumaczenia się grają wybitną rolę tak w ogólnem życiu, jak i w życiu pojedyńczych osób. Można stanowczo utrzymywać, że ani jednego dnia niema, w którymby każdy prawie nie był zmuszonym, raz lub więcej razy uniewinniać się, już to mówiąc ustnie, pisemnie lub też przynajmniej w myśli — w myślach, które często więcej ważą niż słowa, jeśli pochochodzą z przeświadczenia i ze skruszonego serca. Z temi uniewinnieniami się, to już często, (rzecz szczególna) — tak się dzieje, jak z wieloma ludźmi i wieloma rzeczami na świecie: nie zawsze bywają na miejscu... Bo czyż to potrzebne, jak niestety za często się dzieje, tłumaczyć się i uniewinniać przed swymi gośćmi np. z powodu szczupłego mieszkania, niewygodnych schodów — skromnego przyjęcia? Czy potrzebne tłumaczyć się, gdy goście przyszedłszy niespodzianie, zastaną przy robocie, w skromnem ubraniu, lub też jeśli mieszkanie nie sprzątnięte? Czy obowiązani jesteśmy przepraszać, dając komu upominek, że ten jest skromny i nie drogi? Jeśli datek na cel dobroczynny nie wielki? Czy takie powierzchowne rzeczy muszą być uniewinniane? Czy nie byłoby to raczej nieszlachetnie, gdybyśmy nad możność naszą wydawali? „Nikły ten — kto daje więcej niż może.“ Nie; — takie uniewinniania są zupełnie nie na miejscu, — a do tego często mijają się z prawdą... O tak! właśnie uniewinniając się, często schodzimy z prostej ścieżki. Wszak wiemy wszyscy, jak nieraz tłumaczenia się bywają głupie i nieprawdopodobne, jakie wynikają z nich konflikta, zamiast sprawę ułagodzić, jak przyjmowane bywają ironicznem potakiwaniem lub niedowierzaniem, zamiast przebaczenia, szkodę nam przynoszą, ujemnie na wiarę w naszą prawdomówność działając.

Uniewinniania są następstwem wychowania, a przynajmniej powinnyby być. Ależ — czy można spodziewać się od człowieka prawdy, który w dzieciństwie — systematycznie przyzwyczajonym był — do tłumaczenia się i nieprawdomówności? Któż nie zna tych uniewinniań, które np. dzieci w szkole przedstawiają? Ile to bólów zębów, głowy, nadzwyczajnych wypadków, posyłek w południe po doktora, do apteki, — ile sfingowanych spóźniających się tramwajów, — ażeby „spóźnienie“, lub „nieobecność“ w szkole — wytłumaczyć! A tak jak ze szkołą, tak bywa później, kiedy się jest na jakimś stanowisku. Ileż tam uniewinnień, tłumaczeń, których nieprawdopodobieństwo z daleka już się spostrzega. Czyż do dziwne, że bywają z rezerwą przyjmowane? Czy nie byłoby właściwiej powiedzieć prawdę? Szczere szlachetne jej wypowiedzenie byłoby o wiele sympatyczniejsze i niewątpliwie zjednałoby przebaczenie.

Ale i tu trzeba się strzedz ażeby nie popadać w przesadę. Ludzie zawodowi np. powinni uczynić regułą swego życia, ażeby jak najmniej mieli powodu zboczenia swoje uniewinniać. Nie każdemu łatwo przechodzą przez usta tłómaczenia się. Tak jak wiele jest dzieci, które ani przez namowę, ani karami nie dadzą się nakłonić do przeproszenia, tak że niezliczona ilość ludzi — przenosi złe o osobie mniemanie, nawet wielki ból serca nad uniewinniania, lub przyznanie się do błędu. I to szczególna! że właśnie w razach, gdzie powinnoby się niejedno wytłómaczyć, w razach kiedy popełniony błąd dałby się naprawić może szczerem wyznaniem, — w takich razach, trudno nam przychodzi zdobyć się na to. A gdy to wreszcie czynimy, to czynimy może zmuszeni okolicznościami, robimy podobnie jak dzieci: zwalamy winę, lub przynajmniej część tejże na drugich i sądzimy, że przez to stajemy się — bielszymi... Ale czyż złagodzonem jest nasze przestępstwo, jeśli drudzy tak — albo gorzej jak my — postępują? Czy my przez to uniewinnieni jesteśmy, jeśli drudzy są niepunktualni, lub pieniądze wyrzucają, albo też jeżeli i w innych rodzinach panuje rozdwojenie lub kłótnie?

„Kto się uniewinnia, oskarża się“. Tak, kto się niepotrzebnie tłumaczy — tego można podejrzywać. Bez przyczyny nie powinien nikt się tłumaczyć, bo chociaż na chwilę podobać się może, jeśli w drobnostkach i z wdziękiem to czynimy. to jednak — wiara — zachwiana. Wielkiej wartości niema naturalnie takie eleganckie uniewinnianie się; — bywa ono następstwem tak zwanej „towarzyskiej ogłady“ znakiem dobrego wychowania, lecz często pociąga za sobą fatalne skutki i nieprzyjemności.

— Tak zwane: „notoryczne uniewinnienia“ w politycznem życiu miewają nadzwyczajną wagę; i tem samem co te we wielkim stylu, podobne uniewinniania są dla nas w zmniejszeniu: usiłują utrzymać nam spokój, ciszę i wygodę.

Jest przeto cały legion rodzajów uniewinnień, ale najwięcej wynajdujemy ich, jeżeli pragniemy sami przed sobą się uniewinnić, jeśli o to chodzi, ażeby nasze błędy, nasze słabostki — upiększyć. Jakże to fałszywie pojęte, i jak — niemądre! Człowiek, który na swoje błędne postępowanie, na liczne niedbałości, cały szereg uniewinnień ma w pogotowiu, rzadko kiedy w życiu naprzód



Powiew czerwcowy.

będzie mógł postępować, mało znajdzie uznania, mało przyjaciół i mało miłości! Nie; — nigdy wymuszone uniewinniania, tylko *zupełne spełnianie obowiązku swego.* I zawsze gotowym być — do pobłażania drugim — do zmniejszania i uniewinniania ludzkich błędów.

BIAŁA DAMA.

Traktem od śląskiej granicy w stronie Leszna, jechało dwóch mężów zbrojnych. Drogi były niepewne. Nierządem stała Rzeczpospolita, raczej rozkładała się; potężne ciało gniło już za życia,

pomimo spóźnionych medykamentów. Zmarł był August II., mocny ciałem, słaby duszą, z planem podziału Polski w wiecznie pijanym mózgu. Hasła do Sasa i do Lasa skrzyżowały się raz jeszcze na klingach szabel szlacheckich, ostrzu rosyjskich bagnetów, w połysku ludwików francuskich. Potem los i sztuka dyplomatów pozostawiły wojewodzica poznańskiego na dziwnym troniku w Nancy; rozległe państwo Leszna i Rydzyny kupił dawniejszy paź, podtenczas minister i faworyt zwycięzcy, Sułkowski, z mało znanej rodziny, wkrótce hrabia i na śląskich Bielicach książę rzeszy niemieckiej, a z nim na firmamencie nieba magnackiego, sklepionego nad Rzeczpospolitą, zabłysnął ród nowy, aby zniknąć po kilku pokoleniach, jak ongi Tęczyńscy, Kmitowie w historyi, a raczej jak Opalińscy lub Radziejowscy, w tradycyi zdrady, jednego tylko czcigodnego generała napoleońskiego z siebie wydawszy, i godniejszego jeszcze — ironio losu — bękarta z lewej ręki, którego zazdrosny Bonaparte wysłał na śmierć pewną w Egipcie.

Po trzecim Auguście, któremu ku uciesze królewskiej ścierwo kładziono pod murami zamku, aby do zbiegających się psów król mógł strzelać, gdy Brühl rządził w Saksonii niepodzielnie, a w Polsce — kto chciał, Potoccy i Familia kontynuowali walkę o pierwszeństwo w kraju pod królem malowanym, z obcej łaski. Patryotyczne usiłowania pojedyńczych z tych królewiąt, czy innych, chwytających za ster, nie miały już uratować okrętu, osiadłego na mieliźnie.

Z czego nie zdawał sobie sprawy, ani myślał o naprawie ogół, każdy zajęty własnemi interesami.

— Spóźnimy się — mówił jeden z dwóch jeźdźców do swego towarzysza lichym polskim akcentem, mężczyzna olbrzymiego wzrostu, ogromna bryła ciała, pod którą uginała się wysoka, koścista szkapa niemiecka. Twarz miał okrągłą, z której wąsy jasne, siwiejące sterczały, jak półrogi księżyca, a otulony był cały w futro niedźwiedzie, z pod którego połyskiwał półpancerz. Z pod czapy grubej sapał ciężko, zmęczony jazdą. — Przeklęty kraj.

— Nie klnijcie, panie baronie na kraj, w którymeście się swego czasu dobrze pożywili — odpowiadał saskiemu baronowi Koenigshoffowi towarzysz, Polak, niemniej dobrego miana jak tamtem, które z tytułem podkomorzyca łączył; chadzał niegdyś z panem Szmigielskim, starostą gnieźnieńskim, co to Szwedów gonił aż w Prusy, lecz teraz był jednym z tych bezdomnych i bez przesądów awanturników owego czasu, na służbie więcej dającego. Wraz z Koenigshoffem był domowym księcia bielickiego.

— Lepsze to były czasy — westchnął baron, wspominając lata tu spędzone, podczas których się nawet z kiepska po polsku nauczył.

Tamten, mniejszy, młodszy, o czarnym wąsie, rysach urodziwych, lecz zmęczonych, zeszpecony okropnem cięciem, które odjęło mu część nosa od czoła, w szubie zielonej, wilczurą podszytej, podciął żwawego jeszcze węgierskiego podjezdka.

— Istotnie nasz książę pan pod ostatnią chwilę się z swym protestem wybrał. Przecie mu było dawno wiadome, że go w ordynacyi chcą pominąć.

— Musiał mieć swoje racye, nic nam do tego. Ale teras nas ganiać w taki czas od czeskiej granicy pod Leszno. I gorzej, że na wieczerzę chyba teraz nie dojedziem.

— Lichać to ta ordynacya — przywtarzał podkomorzyc — znam, poniszczone wszystko, popalone i zrabowane, jak było za Leszczyńskiego, jeszcze się nie podniosło, zastawów na tem pełno, nawet szwagrowie akcessu do tej fundacyi nie chcą zrobić.

— A pan gnieźnieński wojewoda, książę Antoni Sułkowski, mądra ryba; mają w zamian eventualiter część swych dóbr na nią przydać.

— Mało nabrał — warczał jeszcze z widoczną zazdrością podkomorzyc.

— Links und rechts — wie Gott gebet — potwierdził filozoficznie Sas.

I zadumali się nad tem, że sami nie mieli tyle sposobności do brania. Tymczasem zmrok zapadł zupełny, ni śladu potężnego zamku rydzyńskiego. Pustka w koło, nigdzie wsi. Nocą brnęli dalej. Konie ślizgały się po gołoledzi. Tyle, że mróz trochę zwolniał, ale za to znowu śnieg prószyć zaczął.

Nagle koń podkomorzyca, węsząc nozdrzami, bokiem się rzucił, a kobyła Koenigshoffa, lubo spokojniejsza, zaparła się nagle, tak jak wryta, przedniemi nogami, szyję wyciągając, że jej jeździec mało nie wyleciał z kulbaki. Z pod wierzby przydrożnej wysuwała się jakaś biała postać.

— Kreuzhimmelsacra! — klął Sas.

— Wszelki duch Pana Boga chwali — żegnał się zabobonnie towarzysz.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — odbrzmiało. Stara baba, pochylona pod wiązką gałęzi na plecach, zaprószona śniegiem, mijała ich.

— Tfu Teufel, konie straszy — przeklinał baron.



Sielanka.

— A daleko, kobieto, do Rydzyny? — pytał już przytomniejszy tamten.

— A wej, dycht niedaleko, ino ździebko na prawo. — —

— Juści myślałem, że to biała dama — śmiał się teraz podkomorzyc.

— Jaka biała dama? — pytał ów zaciekawiony — w Berlinie służąc zasłyszałem.

— Mogąć mieć królowie pruscy na swoim zamku swoją — odparł z niejaką dumą zapytany — a zasię książęta Sułkowscy na Rydzynie swoją. To pewno, że się nieboszczykowi księciu Aleksandrowi krótko przed śmiercią w kaplicy ukazała i zawsze im nieszczęście zwiastuje.

Pomimo objaśnień baby, po nocy dopiero dotarli do zamku, na koniec przeciągającej się do rana wieczerzy jeszcze wraz, ale z protestem przeciwko fundacyi, wykluczającej bielicką linię Sułkowskich od spadku, zapóźno.

— Powiedzcie mojemu ukochanemu bratu w Bielicach, że, kiedy on mi dać nic nie chce, po mnie więc też nigdy nic wziąć niema. — I książę Antoni, mężczyzna dorodny, lubo nie tak piękny, jak jego ojciec, paź-minister w boki się brał.

Dziwnym im się wydawał ostatni warunek aktu fundacyjnego, który im przedłożono, jako, że w braku innych potomków, do sukcessyey uprawnionych, majątki wszystkie przejść mają ad dispositionem J. O. Kommissyey Edukacyjney, aby z funduszów na dobrych obywateli wychowywała szlacheckich synów.

Zgromadzona szlachta okoliczna i adherenci księcia przyklaskiwali tak chlubnemu postanowieniu, wiwaty wznosząc na cześć wspaniałomyślnego fundatora.

— Pycha — zaśmiał się szyderczo podkomorzyc.

— Et captatio benevolentiae — und kostet Fuerstliche Gnaden nichts — dodał Koenigshoff. I bodaj tak było.

Prosto z uczty rano, z dymiącemi się jeszcze łbami, książę swych gości na poranną mszę do kaplicy zamkowej powiódł. Poszedł nawet i Koenigshoff. lubo sam dobrze nie wiedział, jakiej jest wiary, bo z luterskich rodziców, dla przypodobania się panującej rodzinie kiedyś katolicyzm przyjął, nie obserwując go zbyt pilnie; najlepiej mu przypadło do przekonania, co w Berlinie uznawał Fryderyk: Byle żołnierzowi serce zbyt gęsto w pludry nie spadało.

A jednak pierwszy krzyknął, gdy w zmroku rozświetlającego się zaledwie dnia, cień jakiś biały mignął przez całą podłuż kaplicy, przesuwając się wolno dość.

Potem opowiadał, że to musiał być mglisto przez płatki śnieżne przebijającego się światła effectus. — Inni twierdzili inaczej.

Książę, widziano, drgnął i pobladł, a potem osłupiałym wzrokiem długo patrzył przed siebie, jakby przyszłości strasznej dręczące mary ujrzał.

Bóg raczy wiedzieć, a o rzeczach pomiędzy niebem a ziemią wiszących rozstrzygać trudno.

Książę Antoni Sułkowski podpisał Targowicę.

Prawnuk jego i imiennik, ostatni, w obcej ziemi pogrzebion.

Rydzyna dziś w niemieckim ręku.

Ludwik Romocki.

Pegaz.

Bajka nie bajka.

Lichy jeden poeta, podczas ciemnej nocy
Uczuł w sobie natchnienie, w całej swojej mocy,
Okulbaczył pegaza i nucąc nocturny —
Siadł na niego, puścił się w horyzont pochmurny.
Tak jadąc na pegazie, poetyczny mrzonka,
Myślał sobie, na rano zajadę do słonka...
Gdy tak pędzi wezbrany natchnieniami duszy,
Poczęło się rozwidniać, patrzy pegaz uszy —
Ma nadzwyczajnie wielkie, i leniwo bryka,
Na raz dzień, spostrzegł że się z osłem, na miejscu boryka...

Jantek z Bugaja.

O drzewach olbrzymach.

Jakże krótkie jest życie ludzi w porównaniu do wieku drzew, z których bardzo wiele stoi kilkaset lat i jeszcze więcej! Gdy się spojrzy na takiego olbrzyma starego, podziwiać trzeba, jak zdołał się oprzeć nieprzeliczonym burzom, zamachom itp. Państwa rozsypały się w tym czasie; wiele generacyi ludzi rozsypało się w proch, a drzewo stoi i żyje, bo co rok zielenią się okrywa.

W różnych okolicach stoją jeszcze takie olbrzymy i tak: dęby, mające 10 do 14 metrów objętości na Laaland, Seeland, pod Soro, Bordingborg, Munden, Adelebsen, Wurringsen, Petersdorf, Poczdamem, w Rudach, Krainie i w wielu innych miejscach; buki, lipy, topole, kasztany, mające do 15 metrów objętości, stoją w Salzan, Trans, Annaberg, Herzberg, Polchow, Nordhausen, na wyspach Teneryfie i Madejrze. Kasztan, rosnący przy wulkanie Etnie na Sycylii, ma 58 metrów objętości. Pewne drzewo oliwne pod Peścią we Włoszech ma 9 metrów, a inne pod Willafranca 11 metrów objętości. Na wyspie Madejrze i Teneryfie są drzewa laurowe mając 12 metrów objętości.

W indyjskiem mieście Bombay znajduje się drzewo figowe, liczące 2500 lat; na wyspie Ceylonie takież samo drzewo w wieku 2150 lat. W Egipcie stoją jeszcze drzewa, zwane sykomorami, które już rosły za czasów Pana Jezusa. Dziś mają 10 metrów objętości. W kraju, zwanym Van Dimensland stoją drzewa mirtowe, mające 15 i 20 metrów objętości. Pewien podróżnik twierdzi, że widział tam drzewa 33 metrów objętości. W Anglii trafiają się drzewa taksusowe po 3000 lat.

W południowych krajach Ameryki Północnej, w Meksyku i Kalifornii rosną cyprysy po 12 metrów objętości, jedno z tych drzew ma zgoła 30 metrów objętości a sławny podróżnik Ferdynand Cortez, przed bardzo dawnymi laty podziwiał je jako cud świata. Wiek jego szacują na 14—1500 lat. W południowej Kalifornii rosną drzewa iglicowe i to zwykle w grupach po kilkanaście lub kilkadziesiąt, które nazywają drzewami mamutowemi z tego powodu, ponieważ nietylko są bardzo grube, ale także bardzo wysokie; zwykle miewają po 11 metrów wysokości. W pniu tego drzewa wycięto niejako tunel, którędy wóz przejechać może wygodnie. Między temi drzewami trafiają się takie, które mają 31 metrów objętości a przeszło 100 metrów wysokości. Pewien podróżnik widział drzewo, którego wiek na 3000 lat szacował. Drzewo było zupełnie zdrowe; gdy je ścięto, urządzono z niego kręgielnią a z pnia zro-



Złote rybki.

biono salę do tańca. Indyanie wydrążyli kilka takich drzew i urządzili w nich mieszkanie dla kilkunastu rodzin. Nadali oni także szczególnie olbrzymim drzewom nazwy, jak „ojciec lasu", „matka lasu", „stara panna", „stary kawaler", „Herkules" itp. Ów „ojciec boru" już się wywrócił; ma 138 metrów długości, a 33 metry objętości. Wydrążono go tak, że stanowi tunel, 54 metry długi. Wiek tego olbrzyma szacują na 5000 lat. Przez tunel innego drzewa może jeździec na koniu przejechać 30 metrów. W innem drzewie wycięto bramę, w której dwa wozy wyminąć się mogą. Drzewo, zwane „matką boru" jeszcze stoi, lecz na 40 metrów od pnia jest odarte z kory; ma28 metrów objętości, a sto metrów wysokości. Rząd amerykański otacza tych krzepkich

staruszków wielką opieką. Pewien podróżnik opowiada, że widział olbrzymie drzewa, które wyrastały z drzew innych, przez wichry na ziemię powalonych. Owe drzewa są czarne, a skoro się się w nie udeży, wydają głuchy dźwięk. Wiek tych zwalonych drzew szacują na 10 tysięcy lat.

Dziennikarstwo chińskie.

Jakkolwiek państwo niebieskie stanowi właściwą kolebkę dziennikarstwa, najstarszy bowiem jego dziennik, mianowicie „Wiadomości pekińskie", obchodził w r. z. tysiąclecie istnienia — to jednak dopiero ostatniemi czasy dziennikarstwo nowoczesne znalazło dostęp do niego.

O ciekawych skutkach tego przewrotu opowiada na łamach paryskiej „Revue" mandaryn chiński Ly-Chao-Pe, co następuje:

Chińczycy interesują się bardzo dziennikarstwem swojem w fazie jego obecnej i biorą udział nader gorliwy we wszelkich zdarzeniach oraz reformach politycznych, jakich państwo ich jest teraz widownią.

Wystarczy tylko zajrzeć do jakiejkolwiek z niezliczonych herbaciarni chińskich, aby przekonać się o niewyczerpanej gadatliwości i ciekawości synów nieba. I kobiety chińskie są ciekawe, niemniej od brzydkiej połowy rodu ludzkiego, wielkich nowinek, a służba ich stanowi zupełnie jak na zachodzie, żywy dziennik.

Dzienniki, które rozwinęły się po 1900 r., i przeznaczone są dla szerokich mas ludności, przybrały kształte najrozmaitsze. Jedne z nich opowiadają o wszystkiem po trochu, inne znów poświęcone są specyalnie handlowi, rolnictwu, nauce lub religii. Powstała również już praca satyryczna, krytykująca w wesołych karykaturach sfery rządowe, sprawki urzędników, okropnie zawiłe egzaminy kandydatów na urzędy, pierwotne środki komunikacyjne lub inne instytucye przestarzałe.

W literaturze chińskiej, istnieje, jak wiadomo, siedem sposobów pisania: starożytny, literacki, kwiecisty, czyli wykwintny, zwyczajny, półliteracki, półzwyczajny i poufały listowy. Dzienniki redagowane są, oczywiście, w stylu alfabetowym, przyczem posługują się nowem pismem alfabetowem, wprowadzonem przez rząd na miejsce starodawnych znaków ideowych, oraz szybko rozpowszechniających się wśród ubogich warstw ludności.

Nie wystarcza jednak wydawać dzienniki. Potrzeba również, aby wydawnictwa te zrozumiane były przez publiczność, pod tym zaś względem istnieje w Chinach jeszcze luka, wykształcenie bowiem ludności chińskiej stoi na bardzo niskim poziomie. Co prawda, dla zaradzenia temu brakowi utworzono prywatne, organizujące po wsiach i miastach odczyty bezpłatne jedynie w celu objaśnienia tego, o czem pisze prasa. Lecz wątpić należy, aby taki sposób wykształcenia ludowego odniósł wyniki pożądane, boć trudno objaśnić chińczykowi w najdłuższym nawet odczycie ludowym, dla czego, naprzykład, posłowie w parlamentach europejskich dochodzą tak często do walki na pięści itd.

Rząd tymczasem wydaje wciąż nowe prawa, tyczące się prasy. Zwłaszcza troskę jego stanowi zużytkowanie papieru dziennikarskiego, a to dlatego, że zgodnie z tradycyą, znaki pisarskie i wogóle wszystko pisane i drukowane, poświęcone jest mężom świętym przeszłości, używanie więc papieru dziennikarskiego dla celów niewłaściwych byłoby grzechem ciężkim, mogącym ściągnąć na ludzi nieszczęście. Lud chiński twierdzi nawet, że kto bezcześci papier drukowany, ten nawiedzony będzie ślepotą. Do codziennego więc użytku fabrykowany jest tani papier ze słomy.

W pieczy swej o papier drukowany rząd chiński nawet idzie tak daleko, że zabrania, naprzykład, surowo wkładania papieru drukowanego w obuwie dla wzmocnienia podeszwy. Poza rządem pieczę nad papierem zadrukowanym roztacza także pewna klasa bonzów, wędrujących po miastach i wsiach, gdzie zbierają skrupulatnie i z namaszczeniem wszelkie kawałki papieru zadrukowanego lub zapisanego, aby nie były sprofonowane. Zebrane w ten ten sposób szczątki dzienników spalone są uroczyście na cześć świętych przed ich posągami.

Bądź co bądź, ta cześć Chińczyków dla słowa drukowanego jest, zaprawdę, wzruszająca, czy jednak utrzyma się długo w miarę zalewania Chin przez kulturę i cywilizacyą europejską? — to pytanie, na które odpowiedź nie wypadnie chyba pocieszająco.



Czy kocha, czy nie kocha?

Odpoczynek świąteczny w Australii.

Wiadomo, z jaką surowością zachowują Anglicy odpoczynek niedzielny. Lecz niedziela angielska jest niczem w porównaniu do niedzieli i południa środowego w Australii; oprócz bowiem świąt zwykłych, robotnik i urzędnik australski mają zapewniony w dniu tym odpoczynek półdniowy.

I tak, skoro wejdzie kto do restauracyi australskiej w środę w chwili, gdy zegary miejskie wydzwaniają dwunastą, ujrzy zdumiony, jak wszystkie kelnerki odwracają się od gości i zrzuciwszy fartuchy, spieszą jak na komendę, ku wyjściu. Jeżeli zaś gość wszedł na kilka minut przed dwunastą i zdążył już zamówić zupę, to może mu się zdarzyć, że kelnerka niosąca talerz, usłyszawszy bicie zegara, postawi talerz na najbliższym stole, nie dbając, czy gość zgłosi się po niego, a sama najspokojniej odejdzie. Do jednego z teatrów, w którym odbywało się przedstawienie popołudniowe, wszedł jakiś jegomość z brodą do połowy ogoloną, tłumacząc się tem, że fryzyer odmówił mu stanowczo ogolenia drugiej połowy, ponieważ wybiło południe. Zdaje się to nieprawdopodobnem, a jednak jest to prawdziwem, że w Sydney, mieście liczącem pół miliona mieszkańców, obcy przybysz nie dostanie w niedzielę nic do jedzenia Co prawda, niektóre restauracye wydają potajemnie potrawy, po pierwsze jednak trzeba wiedzieć, gdzie są takie restauracye, powtóre zaś można narazić się bardzo łatwo na aresztowanie za przekroczenie rozporządzenia o odpoczynku świątecznym. Pewnego Włocha, znajdującego się w niedzielę w takiej restauracyi, restaurator wepchnął, na widok nadchodzącego policyanta, do pokoju bocznego, w którym znajdowała się właśnie jedna



Pieśń wiosenna.

z kelnerek. Surowy stróż porządku publicznego i tam wkroczył, wobec czego biedny Włoch, aczkolwiek żonaty, oświadczył dla uniknięcia kozy, że dziewczyna jest jego narzeczoną, a kelnerka przytaknęła temu zeznaniu. Włoch, co prawda, uniknął takim sposobem aresztowania, naraził się jednak na nieprzyjemności daleko gorsze. Po upływie bowiem pewnego czasu, kelnerka zaskarżyła go do sądu o wynagrodzenie w sumie 500 funtów szterlingów za niedotrzymanie obietnicy małżeństwa, żona zaś biedaka, dowiedziawszy się o tem, zażądała rozwodu, otrzymała go i wyszła wkrótce za mąż powtórnie.

Prawdziwy strach ogarnia Sydnejczyków, gdy zdarzają się dwa dni świąt z rzędu, w ciągu bowiem dni tych miasto staje się martwem i nawet zwłoki ludzi, zmarłych w przeddzień świąt, muszą leżeć niepochowane, choćby nawet zagrażały ludności zarazą, gdyż żaden z grabarzy nie zgodzi się na pogwałcenie wygodnego mu prawa.

Zwierzęta palące.

Mało znany jest fakt, że i wśród zwierząt istnieją palacze namiętni. Należą do nich np. wielbłąd i dromedar, które pod wpływem narkotyzującego działania tytoniu stają się posłuszne i łagodne. Mieszkańcy Afryki północnej znają dobrze tę słabość wielbłądów i umieją wyzyskać ją praktycznie. W tym celu posiadają przyrząd specyalny, złożony z deseczki trójkątnej z otworem pośrodku. Deseczkę tę przywiązuje się do pyska wielbłądowi i, zapaliwszy cygaro, wtyka się je w otwór deseczki. Wielbąd zaczyna wówczas palić, wypuszczając dym przez nozdrza i okazując przytem zadowolenie wielkie. Dziwny widok przedstawia taki wielbłąd, gdy, przymknąwszy ślepie, ciągnie poważnie dym z cygara, dopóki nie wypali go do końca. Trwa to, ma się rozumieć, niedługo; potężnym bowiem płucom zwierzęcia wystarcza kilka minut dla zupełnego wypalenia cygara.

Nasze ilustracye.

Powiew czerwcowy — to bezpośredni towarzysz maja, tego miesiąca zbudzonej natury, bzów wonnych rozkwitających, słowików śpiewania i budzących się w piersiach uczuć gorętszych. Maj piękny rozdmuchał w sercach obojga płomyczyk miłości, a gdy powiew wionął czerwcowy, pod rozłożystą i kwitnącą naszą polską lipą, on zapytał: „czy kochasz mnie“? A ona zakłopotana, nieśmiała, a jednak uszczęśliwiona, rwie listek po listku, i snuje w myślach odpowiedź: „kocham — nie kocham — kocham!...“

Sielanka — wiejska, zabawna. Dwie gąski toczą się, kołyszą środkiem gościńca. Snać głodne na łąkę spieszą, bo toczą się z głośnym gęganiem. A może też umykają przed goniącymi je dzieciaczkami, które przedrzeźniając gęganie gąsek, wszczynają straszny hałas.

Złote rybki — to obrazek, przedstawiający chwilę z życia dawnego, starożytnego Rzymu pogańskiego. Moment przez artystę wyzyskany przedstawia karmienie złotych rybek, które tłumnie spieszą po okruchy i robaczki.

Czy kocha, czy nie kocha? — takie pytanie zadają sobie po części panienki — zakochane. Radeby wówczas dowiedzieć się prawdy za pośrednictwem „wróżki“ albo pasyansa. Cztery dorodne dziewice na obrazku wybrały sobie właśnie pasyansa. I widać że karta pomyślną zapowiada wróżbę, skoro ta, co od nas siedzi na lewo, radością płonie.

Pieśń wiosenna — przez poetów wszystkich śpiewana, hoże dziewoje, które przy brzęku mandoliny śnią o miłości, o kochaniu.

Łamigłówki.

Logogryf:

Z sylab: a — ar — bracht — bu — ce — cho — do — dry — i — i — kiel — kwie — li — lon — mizm — na — nem — no — no — ol — rab — ran — re — rod — sla — so — ta — to — wy — zop — zor ułożyć 12 wyrazów, których początkowe litery składają imię i nazwisko pogromcy Wołochów, a końcowe miejsce jego zwycięztwa.

Znaczenie wyrazów:

1. Zielę aromatyczne. 2. Rzeka w Europie. 3. Założyciel Babilonu. 4. Zatoka w południowej Europie. 5. Mieszkaniec Azyi. 6. Świętości. 7. Król Asyryjsko-Babiloński. 8. Imię króla polskiego. 9. Zwierzę wodne. 10. Prawodawca ateński. 11. Miasto w Polsce. 12. Wyznanie.

Szarada.

Pierwsze mały przyimek, *drugie z trzeciem* ziemia,
Trzecie z czwartem dziesiątkę gdy przy sobie miało,
W Rzymie i poza Rzymem, z sztuk, nauk jaśniało;
Wszystko razem jest imię, co wola olbrzymia
Rzuciła z tronu władzy w samotne siedlisko,
Gdy szczytu ziemskich wyżyn człowiek ten stał [blisko.

Dokładne rozwiązania łamigłówek prosimy nadsyłać najpóźniej do 15. bm. na ręce redakcyi.

Z rozwiązań trafnych 3 odznaczone zostaną nagrodą.

Nazwiska osób, które dobre nadeślą rozwiązania oraz tych, które otrzymają nagrodę, ogłosimy w nr. 25.

Rozwiązania

łamigłówek z nr. 22.:

Logogryf.

Kordela .... S
Adjutan .... T
Rozdwojeni E
Okinawa ... F
Lepiank .... A
Cału .... N
Hufie C
Ostrowid ... Z
Dian .... A
Kondo ...... R
Ichneumo .. N
Ewangieliśc. I
Wezgłowi .. E
Ienie C
Czosne ..... K
Zebrzydowsk I

Zagadka.

Miłość.

Trafne rozwiązania nadesłali:

Z Galicyi:

pp. Juliusz Bogusz, Ludwika Bojukowa, Wojciech Brasiński, Michał Chciuk, Marya Dręgowska, *Zygmunt Gaudnik,* Józef Głuszak, Jadwiga Gołbowa, Stanisław Karaś, Jadwiga Kędzierska, Ignacy Kędzierski, Henryk Królicki, Miecz. Nowosieleski, Alina Panasiewiczówna, A. Świerkosz, Ludwik Rola, J. Steindl, Władysław Trybała, Stefania Wdówkówna, Anna Wełnianka.

Z Księstwa Poznańskiego, Prus Zachodnich i Śląska.

pp. Stanisława i Kazimierz Balcerscy, *Tosia Bilska,* „Błędne Koło“ (pseudonim), M. Chodkiewicz, Tomasz Cichowski, Mieczysława Deskowska, *K. Kaczmarkiewicz,* Fr. Kempski, Karol Kołodziejczyk, Stanisława Krawczyńska, A. Kujawski, Leszek Kwieciński, Marya Maciejowska, Stanisław Markowiak, Kazimira Drowa Nizińska, Fr. Ozdowska, Helena Piechowiak, Gabryel Rącoszek, Jadwiga Spychalska, Zofia Starkówna, Oleńka Żurkowska.

Z obczyzny i zagranicy:

pp. Emcia Petzold z Charlottenburgu, Kazimierz Stopa z Sarajewa (Bośnia), Ludwik Szymanowski z Krey (Nadrenia), Walerya Vogtowa z Wattenscheid (Westfalia), Marya Wróbel z Berlina.

Nagrodę otrzymali:

pp. Tosia Bilska z Emilienhof (Prusy Zach.), Zygmunt Gaudnik z Starego Sączu (Galicya), K. Kaczmarkiewicz z Poznania.

Skrzynka Redakcyi.

— **WP. Stefan J.** w P. Umieszczamy po przeróbce. Prosimy o pamięć.

— **WP. Zdzisław Mier.** w Rz. Dziękuję Wam serdecznie za nadesłany manuskrypt. Z drugiej części nie będzie można skorzystać. Pozwolicie więc na odpowiednie poprawki. Do tego za późno. W ciągu tygodnia po porozumieniu się co do czasu i okoliczności z osobami kompetentnymi wyślę p. M. Nie wątpię, że zużytkuje. Serdeczne pozdrowienie!

— **WP. Wł. M.** w S. Dlaczego pan milczy i nie odpowiada na poruszoną listownie sprawę.

— **WP. Edw. H.** w Krakowie. Prawdopodobnie w drugiej połowie lipca, do Warszawy i Wilna. Żądanych materyałów brak zupełnie.

— **St. L. Fl.** Bardzo nam przykro, ale zamieścić nie możemy, bowiem pisanie wierszy nie zasadza się tylko na rymowaniu „życie-przecie“, „doktor czas-przez ów raz itd.

— **Prawdomir.** Dziękujemy; zamieścimy w następnych zeszytach naszego pisma. Prosimy stale o nas pamiętać.

Maurice Leblanc.

Arseniusz Lupin,

wytworny włamywacz.

Przekład **J. P.**

(Ciąg dalszy).

Tajemniczy podróżny.

W wigilię wyjazdu wysłałem do Rouen samochód drogą, dokąd sam pojechałem koleją. Następnie na swym stalowym rumaku miałem wyruszyć do przyjaciół, mieszkających nad brzegami Sekwany.

Na kilka minut przed odejściem pociągu siedmiu mężczyzn wtargnęło do mego przedziału, w tej liczbie pięciu palących.

Aczkolwiek kuryerskim pociągiem przestrzeń między Paryżem a Rouen przebywa się w czasie bardzo krótkim, perspektywa podróży w niemiłem towarzystwie wydała mi się nieznośną, tembardziej, że wagon, zbudowany według starego systemu, nie miał nawet kurytarzyka.

Wobec tego zabrałem swój płaszcz, gazety, przewodnik i przeniosłem do przedziału sąsiedniego.

Siedziała tam jakaś pani.

Na mój widok poruszyła się niezadowolona, co nie uszło mojej uwagi.

Nachyliła się ku jakiemuś mężczyźnie, który ją odprowadził na dworzec, a teraz stał na pierwszym stopniu wagonu.

Mężczyzna — prawdopodobnie mąż — wpatrzył się we mnie natarczywie. Badanie wypadło widocznie na moją korzyść, szepnął bowiem żonie słów kilka z uśmiechem, jak się mówi do zalęknionego dziecka, chcąc je uspokoić.

Odpowiedziała mu też z uśmiechem, rzucając mi przyjazne spojrzenie.

Zdawało się, iż zrozumiała nagle, że jestem gentlemanem, z którym kobieta spędzić może bezpiecznie dwie godziny, zamknięta w pudełeczku, mającym sześć stóp kwadratowych.

— Nie miej mi za złe, najmilsza — odezwał się mąż — lecz muszę cię zaraz pożegnać. Mam bardzo ważne posiedzenie.

Ucałował ją serdecznie i odszedł. Stała czas jakiś w oknie, przesyłając mu pocałunek i powiewając chusteczką.

Rozległ się gwizd lokomotywy. Pociąg ruszył.

W tej samej chwili, pomimo protestu urzędników, otworzyły się drzwiczki przedziału. Wpadł jakiś człowiek.

Towarzyszka moja, zajęta właśnie układaniem pakunków wzdłuż siatki, wydała okrzyk przerażenia i padła na ławeczkę.

Nie jestem tchórzem, raczej przeciwnie, wyznaję jednak, że te wpadania do wagonu w ostatniej chwili są bardzo przykre, podejrzane, nienaturalne i zawsze coś dają do myślenia.

Powierzchowność i zachowanie się nowoprzybyłego powinny były złagodzić ujemne wrażenie, jakie wywarł swym nagłym wtargnięciem. Był dobrze wychowany, nawet elegancki; krawat miał w dobrym guście, twarz energiczną. Lecz do dyabła gdzie ja tę twarz widziałem? A widziałem niewątpliwie.

W pamięci mej majaczyło się coś, jakby wizyta portretu, który oglądałem wiele razy, aczkolwiek oryginału nie widziałem nigdy. Równocześnie zrozumiałem bezcelowość dłuższego wysiłku myślowego: wspomnienie było tak niejasne, nie skrystalizowane.

Uwaga moja skierowała się na towarzyszkę podróży.

Zdumiał mnie widok jej bladej, wzburzonej twarzy. Patrzyła na sąsiada — siedzieli na tej samej ławeczce — z wyrazem istotnego przerażenia.

Drżąca rączka zbliżyła się nieznacznie do małej torebki podróżnej, leżącej o jakie dwadzieścia centymetrów od jej kolan. Wreszcie pochwyciła ją i ruchem nerwowym przyciągnęła do siebie.

Oczy nasze spotkały się. W jej wzroku wyczytałem tyle trwogi i niepokoju, że nie mogłem się powstrzymać od zapytania?

— Pani czuje się niedobrze? Czy mam otworzyć okno?

Bez słowa, ruchem bojaźliwym wskazała mi sąsiada. Uśmiechnąłem się, podobnie jak jej mąż, wzruszyłem ramionami, tłomacząc za pomocą mimiki, że się niczego obawiać nie potrzebuje, że jestem przy niej i że zresztą pan ten wydaje się zupełnie przyzwoitym.

W tej samej chwili nieznajomy odwrócił się ku nam, obejrzał nas od stóp do głowy, potem wcisnął się w kąt i nie ruszał się wcale.

Zapanowała cisza.

Nagle towarzyszka moja wysiłkiem energii, zdobywając się na czyn rozpaczliwy szepnęła mi zaledwie zrozumiale:

— Wie pan... on jest w naszym pociągu.

— Kto?

— Ależ on... on... zapewniam pana.

— Kto on?

— Arseniusz Lupin!

Oczu nie spuszczała z sąsiada. Zdawało się, że dla niego raczej, niż dla mnie rzuca sylaby nazwiska, które ją takim strachem napełniało.

Nasunął kapelusz na czoło. Czy chciał ukryć zmieszanie, czy poprostu pragnął usnąć?

Odparłem:

— Arseniusz Lupin został wczoraj skazany zaocznie na dwadzieścia lat ciężkich robót. Wydaje mi się więc mało prawdopodobnem, aby dziś był tak nieostrożnym i ukazywał się publicznie. Przytem, zdaje mi się, iż dzienniki wzmiankowały coś o jego pobycie w Turcyi. Jeżeli się nie mylę, udał się tam w zimie, zaraz po sławnej ucieczce z la Santé.

— Znajduje się w tym pociągu — powtórzyła dama z widoczną intencyą, aby być usłyszaną przez sąsiada. — Mąż mój jest wice dyrektorem wydziału karnego; komisarz sam mu powiedział, że poszukuje Arseniusza Lupin.

— To jeszcze nie powód...

— Widziano go w poczekalni. Wziął bilet pierwszej klasy do Rouen.

— Czemuż go nie zaaresztowano?

— Znikł; kontroler, stojący przy wejściu do poczekalni, nie widział go wcale. Przypuszczają, że obszedł peron i wsiadł do ekspresu, który odchodzi w dziesięć minut po odejściu naszego pociągu...

— W takim razie zaaresztują go tam.

— A jeżeli w ostatniej chwili przeskoczył z ekspresu do naszego pociągu... co jest bardzo możliwe... a nawet pewne?

— A więc pochwycą go tutaj. Urzędnicy bowiem i agenci spostrzegli skok taki niewątpliwie... Gdy przyjedziemy do Rouen, złapią go bez trudu.

— Nigdy! Ucieknie z pewnością!

— W takim razie życzę mu szczęśliwej podróży.

— Ale do tego czasu co może zrobić!

— Cóż naprzykład?

— Czy ja wiem? Spodziewać się należy wszystkiego. — Była bardzo wzburzoną. Istotnie, położenie do pewnego stopnia usprawiedliwiało jej straszne podniecenie nerwowe. Prawie niechcący zauważyłem:

— Doprawdy, zdarza się niekiedy bardzo dziwny zbieg okoliczności... Lecz uspokój się, pani. Jeżeli nawet Arseniusz Lupin znajduje się w jednym z tych wagonów, niema jeszcze powodu do obawy... zachowa się przyzwoicie... nie zechce ściągnąć na siebie nowych kłopotów... raczej będzie unikał wszelkiego niebezpieczeństwa.

Słowa moje nie uspokoiły jej wcale. Umilkła jednak, nie chcąc być natrętną.

Rozwinąłem dzienniki i zatopiłem się w sprawozdaniach z procesu Arseniusza Lupin. Nie zawierały one nic nowego, zainteresowały więc mnie bardzo średnio. Przytem byłem bardzo znużony. Źle spałem nocy poprzedniej. Czułem, jak powieki mi ciężą, a głowa pochyla się naprzód.

— Ależ panie! pan przecież nie zaśnie! Towarzyszka moja wyrwała mi z rąk dzienniki. Patrząc na mnie z oburzeniem.

— Oczywiście, nie — odparłem. — Nie mam nawet do tego najmniejszej chęci.

— Byłby to szczyt nieostrożności — oświadczyła...

— Szczyt nieostrożności — powtórzyłem.

Walczyłem energicznie z ogarniającą mnie sennością, skupiając uwagę na otaczającym krajobrazie, na obłokach, przesuwających się po niebie. Wkrótce wszystko się zlało w przestrzeni, obraz wzburzonej damy i uśpionego w kącie wagonu jegomościa zatarły się w mym umyśle. Pogrążyłem się w cichy, głęboki sen.

Marzenia senne, lekkie, bezładne, snuły się w mej wyobraźni, wybitną rolę grała w nich postać Arseniusza Lupin. Ulatywał w przestworza, obładowany kosztownościami, przenikał ściany, ograbiał zamki.

Sylwetka człowieka, lecz jakby nie Arseniusz Lupin, stawała się coraz wyraźniejszą. Zbliżał się ku mnie coraz więcej, rósł mi prawie w oczach, wreszcie z niesłychaną zręcznością wskoczył do wagonu i upadł mi na piersi.

Ostry ból... krzyk rozdzierający. Zbudziłem się.. Nieznajomy, gniotąc mi kolanem piersi, ściskał mię za gardło.

Widziałem to wszystko w zarysach nie wyraźnych, gdyż oczy moje nabiegły krwią. Spostrzegłem jednak swą towarzyszkę, wijącą się w paroksyzmie nerwowego ataku. Nawet nie próbowałem się opierać. Nie miałbym siły. W skroniach mi huczało... straciłem oddech... z piersi wydobywało się rzężenie... Chwila jeszcze, a byłbym zduszony.

Nieznajomy musiał to zrozumieć. Rozluźnił uścisk. Nie oddalając się odemnie, prawą ręką wydostał pętlicę i krótkim ruchem związał mi obie ręce. W chwilę później leżałem skrępowany, zakneblowany, nieruchomy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

DZIAŁ POWIEŚCIOWY

NAD SZPREWĄ.

POWIEŚĆ.

NR 24

(Dokończenie).

W jednem z małych miasteczek wielkopolskich — w cieniu starych drzew, na uboczu, gdzie się już ostatnia z ulic kończyła a pole poczynało — dziwił wszystkich przejeżdżających świeżuteńko tu wzniesiony domek wytworny.

Wybrano mu tu posadę pewnie dla tych drzew i otaczających je krzewów, w których wiosną śpiewały słowiki — a wzniesiono szybko w miejscu zrzuconego starego dworka z takim smakiem i wdziękiem, że i stolicaby się tej wili nie powstydziła.

Widać było po niej, że właściciel musiał być bardzo zamożnym człowiekiem, gdy z taką miłością kosztowną kątek ten upięknił i przyozdobił.

Mimowolnie z gościńca oczy wszystkich przejeżdżających biegły ku temu ustroniu, zazdroszcząc szczęśliwemu.

Na zielonym szerokim trawniku jak kobierzec wyciągniętym przed pałacykiem widać było czasami w białej sukience biegające dziewczątko i ogromnego psa czarnego, który zdawał się jego stróżem.

Pewnego letniego wieczora pocztowy powozik z szosy zwrócił się ku temu domowi i przystanął u murowanej bramy, która się jakby czarodziejskim rozkazem sama przed nim otwarła.

W ganku pod markizą pokazał się mężczyzna nie stary jeszcze, który w jednym ręku trzymając otwartą książkę, drugą zdala żywo witał przybywającego. — Obok niego bijąc w dłonie stała dziewczynka śliczna, złotowłosa, rumiana, ciesząc się także widocznie z miłego gościa.

W powieściach takich zawsze łatwo domyślić się wszystkiego, że ledwie autor śmie czytelnikom tłómaczyć, iż pod tą werandą stał Kajetan Wolski z Liską a na pocztowej bryczce przybył czcigodny garbus, Wojtuś, stary jego przyjaciel. Gdy powozik stanął a gość wyskoczył jakoś raźno, udając młodego, a potem schylił się naprzód dla powitania dziecka, które ku niemu napastliwie wyciągało rączki, i podniósł wreszcie oczy ku gospodarzowi, — Kajetan śmiejąc się zawołał:

— Jakże mi ty zawsze świeżo, młodo i ładnie wyglądasz! — jak elegancko! jak gdybyś w konkury jechał albo od bohdanki powracał?

Wojtuś się rozśmiał wprawdzie, ale spojrzał dziwnie badawczo na Wolskiego i — ramionami tylko poruszył. Nie można było poznać, czy zaprzeczał hipotezie, czy się dziwił, że tak trafną była.

Weszli do pokojów z wielką prostotą i smakiem ale wygodnie urządzonych. Liska już udawała niby gospodynią i pytała czem przyjmować.

— A gdzież chłopcy? — zapytał garbus.

— Odjechali już z nauczycielem do szkół — rzekł Wolski. — Nie mają czasu do stracenia. Łamiemy się z językiem. Fryc najgorzej wymawia i trudno go nakłonić, aby zadał sobie pracę przezwyciężania trudności. Emil, choć się myli, mówi już nie źle po polsku a czyta jeszcze lepiej. Muszę z niemi spieszyć, aby stracony czas nagrodzić, bo potem przyjdzie ogólne wykształcenie a tego trudno gdzieindziej szukać jak w uniwersytetach niemieckich, choć w nich eliksir żywota pomięszany jest z trucizną.

Wolski westchnął.

Liska przyszła i sparła mu się na kolanach, kokietując garbusa.

— No — a ty? — zwracając się do niej odezwał się doktor — po jakiemu mówisz?

— Ja... ja?... mówię... jak tatuś... po polsku.. szybko zawołała śmiejąc się dziecina i pokazała ząbki białe.

Starzy towarzysze zaczęli po cichu rozmawiać z sobą. Wojtuś czegoś częściej niż kiedykolwiek wzdychał, chwytał się za podłysiałą czuprynę i chodził zamyślony. Wolski, który go doskonale znał, z daleka mu się przypatrując widział w nim jakąś zmianę, której sobie wytłómaczyć nie umiał a dopytywać się o przyczynę jej wahał.

Pod balkonem wychodzącym na drugą stronę domu ku ogrodowi ze staremi drzewami podano herbatę, Liska poszła z przyjacielem swym psem i niańką zabawiać się do ogrodu, Wolski pozostał z garbusem, zapaliwszy cygara; po chwili widząc go zamyślonym i ciągle jeszcze nie swoim, gospodarz odważył się — biorąc go za rękę — odezwać się z cicha:

— Ale zwierzże mi się ty, co ci jest? Widzę, że coś masz na sercu.

Garbus spojrzał, ramionami ruszył, nie odpowiedział nic.

— Co mi jest? co mi jest? — odezwał się po bardzo długim namyśle — oto... w drodze dumałem nad sobą i nad nami i wydumałem, żeśmy wszyscy słabi, niepoprawni, że z nas bodaj nic nie będzie i że nas Niemcy zjedzą!

— Cóż to znowu? zkąd takie rozpacze?

— Dosyć jest kilka mil krajem naszych przejechać... uwag się naciska bez liku...

Westchnął i zamilkł...

Zmierzchać zaczynało, rozmowa przerywana jak nie szła tak nie szła. Wolski zabiegał z różnych stron, nic dobadać nie mógł.

Wojtuś był czemś przejęty, poruszony, a że nie miał taić się zwyczaju, zwracało to uwagę Wolskiego tem mocniej, iż rzecz zdawała się być większej wagi i natury delikatnej.

Postanowił nie nalegać a dać mu się — jak mówił — wysapać.

Przy wieczerzy i po kilku kieliszkach wina garbus się ożywił, ale pluł jakiemiś pesymizmami bez końca.

Ile razy Kajetan nań spojrzał, jakby pochwycony na uczynku czerwienił się, pił i milczał... Mówiąc tak o wszystkiem i o niczem, dosiedzieli do późnej nocy. Księżyc z poza starych lip ukazał się ze swą tarczą srebrzystą jak ciekawy szpieg badający nocy tajemnice. Tęsknota tej godziny duchów obwiała ich z wieczornem powietrzem. Sparty na ręku Wolski patrzał na ogród, Wojtuś także... Po długiem milczeniu zerwał się nagle...

— Co ze mnie za dziecko — zawołał — przyjechałem do ciebie z wyznaniem a nie śmieją go przepuścić usta moje... Noszę się z niem jak z kamieniem za nadrą — trzeba je raz wyrzucić.

Chciałem ci oznajmić, że po długiej walce i oporze nakoniec — gdy czas było mieć rozum — robię uroczyste głupstwo...

— A! zlituj się! cóż takiego? — zawołał ręce łamiąc Wolski.

— Odgadniesz łatwo. Nie ożeniłem się będąc młodym... ale dobrałem porę, gdy reumatyzm się czuć daje po kościach — gdym wyłysiał, gdym stetryczał, gdym się popsuł jak przeleżały owoc — chcę uszczęśliwić kobietę — moją garbatą i połamaną figurą...

Tupnął nogą o posadzkę.

— Na to, z pozwoleniem, trzeba być takim jak ja osłem! — dokończył siadając.

— Hola! hola! przyznam ci się, że nie rozumiem — przerwał gospodarz. — Jeżeli przekonany jesteś, że to głupstwo, nie powinieneś go robić.

— Nie — już muszę, sam się przekonasz... to w mojem przeznaczeniu; im dłużej będę czekał, tem solenniejsze popełnię... Nie! nie! już się ożenię... Przekonałem się, że to inaczej nie może być. — Jestem człowiekiem i samotność mi cięży... jeżeli nie ożenię się teraz, grozi mi jutro coś okropnego... muszę się ratować... Myśmy wszyscy stworzeni do mieszkania pod pantoflem — Ananke!

— Radbym wiedział, co cię do tych wniosków doprowadziło — rzekł Wolski — spowiadajże się porządnie.

— A no muszę... cięży mi to... — mówił garbus — chociaż i wyznanie a mea culpa łatwą nie będzie.

— Czekam więc... słucham...

— Zbieram materyały nie wiedząc, z którego zacząć końca — mówił Wojtuś.

— Ale ożenienie? czyż to już postanowione?

— Nieodwołalnie! na nieszczęście. — Stało się — dałem słowo! — westchnął garbus.

— Stare twoje kawalerstwo może ci tak groźną przyszłość przedstawia. Weźmiemy ją pod mikroskop, pod skalpel i może się co innego pokaże.

— Daj Boże, ale wątpię — rzekł garbaty siadając i zapalając cygaro nowe. Przypomnijno sobie, ileśmy to razy rozprawiali o małżeństwie i jakie ja w zastosowaniu do siebie rozumne wygłaszałem teorye — jakim byłem filozofem... Wszystko to nie obroniło mnie — od pantofla...

Westchnął garbus.

— Przybywszy do Poznania, jak wiesz, zacząłem bywać często w domu państwa P.... Starsza córka zachwyciła mnie, ale miałem tyle rozumu, żem sobie wytłómaczył, jakiemby było szaleństwem rozumną i piękną a młodą panienkę skazywać na garbatego męża. — Czując, że dla niej mógłem być niebezpiecznym, a broniąc się od tego, aby ona dla mnie nie była pokusą — ograniczyłem się na czułej przyjaźni i bywałem w tym domu... Panna była dla mnie bardzo miłą, ja czasem zapalonym, częściej chłodnym i trzymającym się na wodzy. Myślałem ciągle—pójdzie za mąż i wszystko się skończy. Tymczasem zamiast kończyć się miłość się tak na dobre poczęła, żem uciekł — cały rok jej nie widziałem... Było to według mojej teoryi najlepsze lekarstwo, oprócz tego chciałem spróbować metody derywacyjnej.

— Siedziałem właśnie w Berlinie, będąc jednym z tych nieszczęśliwych deputowanych na sejm, którzy muszą jeździć tam, aby kupczyki i burmistrze narodowo-liberalni, cała ta gawiedź embryon klasy średniej, niedokształconej a zarozumiałej, miała sobie z kogo drwić i naśmiewać się, a taki genialny Braun z Wiesbaden pisać artykuły solone... glauberską solą.

Od czasu, jak mi ciebie tam zabrakło, nudziłem się okrutnie.

Przez niemieckich mych towarzyszów, z którymi pewnych stosunków niepodobna było uniknąć — wprowadzony zostałem do domu, opisywanego mi jako ciekawe kółko, w którem się przyzwoite towarzystwo zbierało... na wieczory — polityczne — parlamentarne — ekonomiczne — artystyczno literackie.

Nawet stary Cylius bywał tam także... Gospodynią domu była niebieska pończocha ale jedwabna, baronowa von Weisstein... urodzona von Gruben itd.

Zapowiedziano mi w niej znakomitość, dowcip, naukę, talenta.

Dałem się wciągnąć. — Dom zaznałem bardzo przyzwoity, urządzony skromnie ale dostatnio, towarzystwo w nim — acz niemieckie i kosmopolityczne, ale ludzie. Co najdziwniejsza, przesądów przeciwko nam nie było. Sama pani, wdowa, bezdzietna, lat trzydziestu kilku, bardzo jeszcze ładna, podobała mi się z naturalności, niewieściego wdzięku i rozumu. Najmniejszej w niej zalotności nie znalazłem ani cienia, ale uprzejmość największą.

Zajęła mnie mocno — przyznaję się do grzechu — chcąc czem zapłacić za mój garb, który nie miłe czyni wrażenie — starałem się być śmiałym, dowcipnym, paradoksalnym — jednem słowem, puszczałem fajerwerki... popisywałem się sobą. Pan Bóg mnie za tę próżność ukarał.

Wśród tych zimnych jak ryby Niemców — ja jeden bawiłem panią Weisstein — skutecznie. Prosiła mnie mocno, bym u niej jak najczęściej bywał. Zacząłem włóczyć się wieczorami, czasami zastając po osób kilkanaście, czasem po kilka, a czasem, co mi się bardzo podobało — nikogo.

Wówczas zagadywaliśmy się o bieżących kwestyach żywotnych do północy... a ja wychodziłem rozczarowany, zachwycony, ale nałożyłem munsztuk na serce i kochać się nie pozwalałem. Wara! Garb stał mi w oczach.

Wyjechałem napowrót do domu i miła pani Weisstein znikła mi z oczów, ale poszedłem do państwa P... i znalazłem Tolę, która mnie powitała rumieńcem. Była zawsze śliczna i — za mąż nie poszła. Siostry jej wybierały się jedna po drugiej, ta — siedziała. Od Toli broniłem się przyjaciółką Niemką, a od Niemki postanowiłem się bronić Tolą. Tym sposobem, zdawało mi się, że wyjdę cało.

Pani Weisstein napisała raz do mnie, odpowiedziałem żartobliwie.

Powróciwszy do Berlina drugiego dnia zaraz poszedłem do niej. — Ujęła mnie mocno przyjęciem serdecznem, rozjaśnioną twarzą i dowodem przyjaźni. Nawet mi się jeszcze piękniejszą teraz wydała.

Nazajutrz sam wziąwszy się za puls spostrzegłem, że grozi niebezpieczeństwo. Niemka zajechała głęboko.

Przez trzy dni nie poszedłem do niej ze strachu, czwartego odebrałem przynaglenie. Musiałem być posłusznym. Przybywszy zastałem ją samą i smutną. Czytała książkę jakąś, była to nowela Heysego, rzuciła ją i przyszła z wymówkami do mnie.

— A! niewdzięczny pan jesteś! jak można było o mnie zapomnieć.

Byłem w jakimś humorze osobliwym.

— Wie pani co — zawołałem siadając przy niej — nie gniewaj się pani na mnie, jeśli powiem co nieprzyzwoitego.

— Wy? co nieprzyzwoitego? — spytała zdumiona.

— Nie mogę u was bywać, pani baronowo.

— Dla czego?

— Czuję, że mógłbym się zakochać, w moim wieku i z moim garbem. Byłaby to miłość śmieszna a męcząca.

Baronowa się zapłoniła.

— Ale, cóż to pleciesz, doktorze — odezwała się zmięszana — chyba nie myślisz o tem, co mówisz. Prawisz mi komplementa, jam za stara na te cukierki.

— Słowo daję, prawda szczera.

— Seryo?

— Seryo, wolę się wycofać w porę.

— Ale ja nie przyjmuję tej wymówki i nakazuję panu, abyś bywał regularnie — zobaczymy.

Wieczór spędziliśmy jak najuprzejmiej, ale czułem, że dyabeł, który nigdy, jak wiadomo, nie śpi, opętywał mnie coraz mocniej. Około dziesiątej, gdy rozmowa była najożywieńsza, wsuwa się figura mi nieznana, na której widok baronowa zarumieniła się jak wiśnia, ogromny mężczyzna barczysty, w surducie wojskowym, ze wstążkami, bardzo przystojny. Był to generał von... no, przypuśćmy, von der Teufel.

Generał spojrzał koso na mnie, ja na niego, gospodyni nie rychło przyszła do równowagi z sobą i z nami. Odwiedziny były niespodziane dla wszystkich.

Wyniosłem się wkrótce markotny. Znać nie uszło to uwagi pani, bo mnie nazajutrz bilecikiem zaprosiła do siebie, a że caro infirma, poszedłem, aby się dowiedzieć, że pan generał jest kuzynem jej i człowiekiem żonatym itd. itd.

To mnie zupełnie uspokoiło. Jednakże sama wzrastająca sympatya ku baronowej, znajdująca zbyt dla garbatego łatwy oddźwięk w jej duszy, dawała do myślenia. Rachowałem się z sumieniem. Niebezpieczeństwo było wielkie. Uciekłem na wieś.

Tu moja dawna miłość świeższą mi wybiła z głowy. Panna nie szła za mąż — i — jak cię z duszy kocham, przyjęła mnie ze łzami w oczach.

Wybierając z dwojga złego mniejsze, kochany Kaju — oświadczyłem się, kocham się jak kot i gryzę się losem nieszczęśliwej kobiety, która ma być moją żoną, ale gdybym jeszcze był raz do Berlina z wakującą ręką i sercem pojechał... kto wie, coby mnie tam czekało? Przestałem sobie wierzyć!

Serce polskie zdobywa się na sofizmata niesłychane, gdyż horret vacuum. A nuż byłbym się... z Niemką ożenił. Drżę na myśl samą... zwłaszcza od czasu, jak się dowiedziałem, że generał jest istotnie kuzynem i rzeczywiście żonatym, ale nie mniej pani baronowej jawnym adoratorem od lat sześciu. Całe miasto wie o tem.

Patrzajże, do czego przyszedłem z mojemi teoryami, mądrością, charakterem i uporem, patrz i lituj się.

— Ale ja się cieszę i winszuję ci z duszy — zawołał Wolski ściskając go.

— Ja czuję się upokorzony — dodał garbus — jesteśmy więc wszyscy przeznaczeni — pod pantofel. Ananke!!

KONIEC.

TUŁACZE.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

PRZEZ

B. BOLESŁAWITĘ.

(Ciąg dalszy.)

Szczęściem dla sprawy, wkrótce po bitwie pod Germanstown, generał Burgoyne został osadzony przez wojsko amerykańskie pod Saratogą, zmuszony był kapitulować i poddać się.

Zwycięztwo to płaciło z lichwą dwa niepowodzenia poprzednie.

Gates podźwignął Washingtona.

Współcześnie prawie Francya podpisała traktat przymierza z rzeczpospolitą, obiecując czynną pomoc Stanom Zjednoczonym, których sprawa już od tej chwili za wygraną uważać się mogła.

KSIĘGA VI.

Trenton — Savannah.

Było to w przededniu wigilii Bożego Narodzenia (1777 r.) tego narodowego święta, o którem żaden Polak ani w Sybirze, ani u brzegu Delawary nie zapomina.

Pierwsza gwiazda, co się tego wieczora na niebie ukaże, przypomina każdemu młode lata, błogie lata... bo dla nas, im głębiej w przeszłość tem jaśniej.

Pułaski ze swoim oddziałem stał naówczas w stolicy N. Jersey, w Trenton; małem miasteczku u ujścia Sapping do Delawary; w jednej z najpiękniejszych okolic tej części kraju. Miasto wyrosłe z ziemi jak drzewa i miasta na tym nowym świecie rosnąć umieją — w oczach — nie wielkiem było podówczas — ale to obozowisko człowieka, w półkole pagórkami, okrytemi wspaniałym lasem otoczone, oblane dwóch rzek wspaniałemi wody — przedstawiało obraz wielkiego wdzięku młodzieńczego.

Już miasteczko żyło owem życiem zaszczepionem z Europy — a o sto kroków za niem szumiały odwieczne cedrów lasy, lasy jodeł, wiązów i topoli kanadyjskich, podszyte akacyami, powiązane sznurami lijanów i innych latorośli, zbite jakby do walki z siekierą, która im trzebieżą groziła.

Nieraz jeleń wybiegłszy z tych cieni, stawał nad doliną, patrzał zdziwiony i biegł znowu kryć się w ostępy.

To zbliżenie dwóch światów, dziewiczej natury i żywota społecznego, ta cisza pustyni, może nawet klimat po części przypominał wygnańcom Polskę.

Tretończycy mówili im, że czasem zimą Sapping się lodem okrywał, że brzegów Delawary kry się czepiały, że śnieg tu leżał po dni kilka.

W wycieczkach swych myśliwskich Pułaski spotykał zwierzynę nawet jakby europejską, sarny, wilki, zające... chociaż złoty bażant zaszumiawszy w gałęziach, to marzenie o domu przerywał. Pomiędzy cedrami czarna jodła mówiła o naszych ogrodach i lasach.

Trenton od Pensylwanii dzielił tylko most, rzucony przez rzekę, amerykański most owych czasów, budowa z ogromnych kloców drzewa, chwiejąca się, zdająca stać cudem, pełna szczerb, a mimo to przeszło tysiąc stóp szerokie, szumiące przeskakująca wody.

Pułaski ze swym oddziałem miał częste polecenia czynienia wycieczek do Pensylwanii; rzucał się niespodzianie w okolice Filadelfii, oglądał je, porywał transporty, niepokoił straże i podrażniwszy nieprzyjaciele, uchodził nazad do swego schronienia.

Te partyzanckie wycieczki bawiły jego, rozrywały Karóla, ale upokarzały nieco, bo nie dozwalały żadnym głośniejszym odznaczyć się czynem. Wszystko w nich jak one było drobnych rozmiarów.

Leże zimowe w Trenton miały też na celu wprowadzenie karności w te pułki, z których dowódzca chciał zrobić dobrych żołnierzy; ale ciężko przychodziło łamać się z nieokiełznanem przywyknieniem do swobody.

Zresztą to życie na czatach nie ciążyło Pułaskiemu, który odradzał się siadłszy na koń, uśmiechał gdy nieprzyjaciela zobaczył, w spoczynku tylko będąc smutnym i zgryźliwym.

Karól także dzielił jego usposobienia, i byłoby im tu dobrze, gdyby prócz siebie mieli choć jedną duszę przyjazną. Tymczasem wiemy, jaką niechęcią, zazdrością szpetną i małą, siało ku nim wszystko co ich otaczało. Oprócz służbowych innych stosunków z komendą nie mieli, żyli z sobą.

Jedyną pociechą w dniu spoczynku były wzgórza i lasy okoliczne, polowania na ptastwo i jelenie; a choć się na nich czasem i z grzechotnikiem spotkać było można, nie obawiano się go więcej nad obozowych towarzyszów.

Nadchodzące dnie świąteczne, u Anglików także obchodzone z wielką uroczystością — Karólowi poddały myśl sprawienia polskiej wilii Pułaskiemu.

Nosił on się z nią dość długo, dumał, rozpytywał, wreszcie uznawszy możność, postanowił tę niespodziankę doprowadzić do skutku. Może i jemu samemu przypomnienie to dla stęsknionego było potrzebne sercu.

Tail się w początkach z tem, jak je zwał, dziecińststwem, ale na ostatek musiał się zwierzyć panu Maciejowi, bo bez jego pomocy, wykonać się to nie dawało.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ALEKSANDER DUMAS.

WSPÓLNIK GARBARZA

CZYLI

KAWALER DE MAISON-ROUGE.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

— Ah! — rzekła Genowefa — gdyby kwiaty łzami skrapiać można było te, jak powiadasz biedne goździki, nie byłyby zamarły.

Maurycy otoczył ją swymi ramionami, żywo zbliżył ku sobie i nim miała czas do obrony położył usta na jej w pół uśmiechającem się, w pół omdlewającem oku, co patrzyło na spustoszałą skrzynię.

Genowefa tyle miała sobie do wyrzucenia, że była pobłażliwą.

Dixmer wrócił późno i zastał Moranda, Genowefę i Maurycego, rozmawiających w ogrodzie o botanice.

VI.

Kwiaciarka.

Nadszedł nakoniec ów sławny czwartek, dzień służby Maurycego.

Było to na początku czerwca. Na niebieskawem tle obłoków odbijały się jasne cienie nowych domów.

Przeczuwano już, że nadejdzie ów pies straszliwy, którego starożytni wyobrażali jako pożeranego nieugaszonem pragnieniem, a który, jak mówi gmin paryzki, tak dobrze bruk wylizuje. Paryż czysty był jak kobierzec, a zapach występujący z powietrza, drzew i kwiatów, upajał mieszkańców stolicy niby pragnącej przygasić nieco wyziew krwi buchający nieustannie ze wszystkich jej punktów.

Maurycy przybyć miał do Temple o godzinie dziewiątej; kolegami zaś jego mieli być Marcevault i Agrikola.

O ósmej był na starej ulicy św. Jakuba; w wielkim mundurze obywatela urzędnika, to jest w trójkolorowej szarfie krępującej giętką i silną jego postać.

Jak zwykle konno przybył do Genowefy, a po drodze zbierał same tylko niezaprzeczone pochwały i oklaski dobrych patryotów, których w przejeździe swym spotykał.

Genowefa już była gotowa: miała na sobie prostą muślinową suknię, lekki jedwabny płaszczyk, małą czapeczkę z trójkolorową kokardą, lecz mimo całej prostoty ubioru czarowała swą pięknością.

Morand, który jak widzieliśmy, długo dał się prosić, nim postanowił towarzyszyć Genowefie, z obawy zapewne, aby go nie wzięto za arystokratę, ubrał się w codzienne suknie, na wpół mieszczańskie, na wpół rzemieślnicze. Niedawno dopiero wrócił do domu, twarz jego nosiła jeszcze ślady mocnego znużenia.

Utrzymywał, że dla dokończenia bardzo pilnej roboty musiał całą noc pracować.

Dixmer wyszedł natychmiast, skoro Morand powrócił.

— No jakże! — spytała Genowefa — co postanowiłeś Maurycy i jakim sposobem widzieć będziemy królowę?

— Posłuchajcie mego planu — rzekł Maurycy. — Przybywam z wami do Temple i poruczam was Lorinowi, który tam stoi dziś na warcie. Zajmuję moje stanowisko, i w sprzyjającej chwili przychodzę po was.

— Lecz — spytał Morand — gdzież i jakim sposobem obaczymy uwięzione.

— Podczas ich śniadania lub obiadu, jeżeli zechcecie będziecie mogli widzieć je przez szklane drzwi z pokoju urzędników.

— Doskonale — powiedział Morand.

Wówczas Maurycy widział, jak Morand zbliżył się do szafy stojącej w głębi jadalnej sali, i wypił duszkiem szklankę wina. To go zdziwiło. Morand zwykle był trzeźwy i pijał tylko samą wodę.

To zdziwienie Maurycego nie uszło uwagi Genowefy.

— Wyobraź sobie — rzekła — że ten nieszczęśliwy Morand zabija się swą pracą tak dalece, że pewno od wczorajszego poranku nic jeszcze nie jadł.

— A więc nie był tu na obiedzie? — spytał Maurycy.

— Nie, doświadczenia swoje robi w mieście.

Do tej szklanki wina Morand dodał kawał chleba, który zjadł z apetytem.

— A teraz — powiedział żarłok — jestem gotów, kochany obywatelu Maurycy; jeżeli chcesz pójdziemy.

Maurycy przestał rwać zwiędłe słupki zamarłego goździka, który przyniósł z ogrodu i podając rękę Genowefie rzekł:

— Chodźmy.

I poszli.

Piersi Maurycego zaledwie mogły objąć całe szczęście, które go napełniało; zaledwie zdołał wstrzymać się od wydania okrzyku radości. Bo i czegóż już więcej mógł żądać? Nietylko pewnym był, że Genowefa nie kocha Moranda, lecz nadto wiedział, że sam jest kochanym i miał nadzieję. Bóg zesłał na ziemię piękne słońce, ręka Genowefy drżała wsparta na jego ręku, a publiczni wywoływacze, wyjąc na całe gardło, tryumf jakobinów i upadek Brissota wraz z jego wspólnikami głosili, że ocalono ojczyznę.

— O! co za piękny dzień! — zawołał Morand.

Maurycy obrócił się zdziwiony pierwszem dopiero wylaniem się tego umysłu tyle zawsze roztargnionego lub powstrzymanego.

— O! tak, bardzo piękny — powiedziała Genowefa, mocniej opuszczając się na ramię Maurycego. — Oby do wieczora pozostał tak czysty i niezachmurzony jak w tej chwili.

Maurycy zastosował to do siebie i szczęście jego podwoiło się.

Morand spojrzał na Genowefę przez swe zielone okulary z wyrazem szczególnej wdzięczności; może i on także do siebie to stosował.

Przebyli tym sposobem mały most; ulicę de la Juiverie i most Notre-Dame, potem udali się na plac ratusza, ulicę Barre-du-Bec i ulicę Saint-Avoye.

W miarę jak postępowali, krok Maurycego stawał się coraz lżejszym, a przeciwnie krok jego towarzyszki i towarzysza coraz ociężalszym.

Na rogu ulicy des Vieilles-Haudriettes, nagle jakaś kwiaciarka zastąpiła drogę naszym przechodniom, zalecając im swój koszyk pełen kwiatów.

— O! co za przepyszne goździki! — zawołał Maurycy.

— A prawda! bardzo piękne — rzekła Genowefa. — Zdaje się, że ci co je pielęgnowali nie mieli innego zatrudnienia, bo nie zwiędły wcale.

Słowa te bardzo słodko zabrzmiały w sercu młodzieńca.

— Ah! mój śliczny urzędniku — rzekła kwiaciarka, kup ten goździk dla ładnej obywatelki. Ona biało ubrana, a oto pyszne pąsowe goździki, białe z pąsowem bardzo się zgadza; ona położy bukiet na sercu, a że jej serce bardzo blizko twego niebieskiego munduru, będziesz więc miał narodowe kolory.

Kwiaciarka była młoda i ładna, komplement ten powiedziała ze szczególnym wdziękiem, a przytem tak doskonale był trafny, iż gdyby nawet naumyślnie był wyszukany, nie dałby się nigdy lepiej zastosować do okoliczności.

Zresztą kwiaty były prawie symboliczne, bo podobne do goździków Genowefy, zamarłych w jesionowym wazonie.

— I owszem — powiedział Maurycy — kupuję, bo są goździki, czy rozumiesz? Wszystkich innych kwiatów nie cierpię.

— Ach! Maurycy — rzekła Genowefa — niepotrzebnie wydajesz pieniądze; przecież mamy tyle ich w ogrodzie.

Lecz mimo, że usta dziękowały, oczy Genowefy wyraźnie mówiły, iż umiera z niecierpliwości posiadania tego bukietu.

Maurycy wybrał najpiękniejszy ze wszystkich, a był to właśnie ten, który mu podała sprzedająca.

Składał się zaś z dwudziestu pąsowych goździków, silnie i miło pachnących, ze środka których wychodził, panując nad innemi jeden ogromny goździk.

— Masz — rzekł Maurycy do sprzedającej, rzucając jej w koszyk pięcio-liwrową asygnatę — masz oto dla ciebie.

— Dziękuję, piękny urzędniku — powiedziała kwiaciarka — stokroć dziękuję!

I postąpiła ku innej parze obywateli w nadziei, że tak wspaniale rozpoczęty dzień pójdzie jej pomyślnie.

Podczas tej na pozór, prostej sceny, zaledwie kilka sekund trwającej, Morand, chwiejący się, ocierał spocone czoło, Genowefa zaś blada była i drżała.

Nieśmiało wzięła z rąk Maurycego piękny ten bukiet i poniosła do twarzy, nie ażeby ode-

tchnąć jego zapachem, lecz aby ukryć swe wzruszenie.

Resztę drogi Maurycy przynajmniej odbył wesoło, bo wesołość Genowefy była przymuszona, Morand zaś swoję w dziwaczny sposób objawiał, bo przez stłumione westchnienia, przez głośne wybuchy śmiechu i miotanie straszliwych żartów na przechodniów.

O godzinie dziewiątej przybyli do Temple.

Santerre przywołał urzędników.

— Oto jestem — rzekł Maurycy zostawiając Genowefę opiece Moranda.

— Ah! jak się masz — rzekł Santerre, podając mu rękę.

Maurycy ochoczo uścisnął podaną sobie dłoń. Przyjaźń Santerra była to rzecz zbyt w owej epoce szanowna.

Na widok człowieka, który dowodził sławnem biciem w bębny, Genowefa zadrżała, Morand pobladł.

— Kto jest ta piękna obywatelka — zapytał Santerre Maurycego — i po co tu przychodzi?

— Jest to małżonka dzielnego obywatela Dixmer, słyszałeś zapewne o tym dzielnym patryocie, obywatelu generale?

— Znam, znam — przerwał Santerre — jest to naczelnik garbarskiej wyrobni, kapitan strzelców legii Wiktora.

— Ten sam.

— Dobrze! Ale na honor, co za ładna osoba. A ten koczkodon, co ją trzyma pod rękę, co za jeden?

— Jest to obywatel Morand, wspólnik jej męża, strzelec w kompanii Dixmera.

Santerre przystąpił do Genowefy.

— Dzień dobry ci obywatelko — powiedział.

— Dzień dobry, obywatelu generale — z wysileniem odrzekła Genowefa, uśmiechając się.

Santerowi pochlebił zarazem uśmiech i tytuł.

— Po cóż tu przyszłaś, piękna patryotko? — dodał.

— Obywatelka — odezwał się Maurycy — nie widziała nigdy wdowy Kapet, pragnęłaby więc obaczyć ją.

— Tak jest — rzekł Santerre — nim...

I okropne zrobił poruszenie.

— Rzeczywiście — zimno odpowiedział Maurycy.

— Dobrze — rzekł Santerre — staraj się tylko, aby jej nie widziano, jak będzie wchodzić do wieży, byłby to zły przykład, zresztą spuszczam się na ciebie.

To powiedziawszy Santerre znowu uścisnął dłoń Maurycego przyjaźnie i protekcyjnie skinął głową Genowefie i poszedł zająć się innemi obowiązkami.

Po licznych ewolucyach grenadyerów i strzelców, po kilku manewrach artyleryi, której głuchy przechód rzucał w okolicę zbawienny przestrach, Maurycy wziął znowu Genowefę pod rękę i w towarzystwie Moranda, zbliżył się ku odwachowi, przed którym Lorin wrzeszczał manewrując swoim batalionem.

— Brawo! — zawołał — do pioruna! otóż i Maurycy z jakąś jak uważam przyjemniutką kobietą. Miałżeby filut protegować ją na współzawodnicę mojej bogini rozumu? O! jeżeli tak jest, biada ci Artemizo.

— I cóż! obywatelu adjutancie? — rzekł kapitan.

— Ah! prawda; baczność! — zawołał Lorin — na lewo w tył... dzień dobry Maurycy, krok podwójny... marsz!

Uderzono w bębny; kompanie udały się na swe stanowiska i skoro je pozajmowały, Lorin przybiegł.

Po wzajemnem przywitaniu się, Maurycy przedstawił Lorina Genowefie i Morandowi.

Potem nastąpiły wyjaśnienia.

— Rozumiem, rozumiem — rzekł Lorin — żądasz abym wpuścił do wieży obywatela i obywatelkę, ej! to drobnostka, pójdę ustawię placówki i powiem, że mogą cię przepuścić wraz z twem towarzystwem.

W dziesięć minut później, Genowefa i Morand w towarzystwie trzech urzędników weszli i zajęli miejsce za szklanemi drzwiami.

VII.
Pąsowy goździk.

Królowa tylko co wstała. Chora od dni kilku dłużej jak zwykle leżała. Dowiedziawszy się jednak od siostry, że słońce zeszło wspaniale, przemogła się i prosiła, aby jej wolno było wraz z córką użyć świeżego powietrza na tarasie, na co też chętnie zezwolono.

Atoli druga jeszcze przyczyna skłaniała ją do tego.

Raz tylko, wprawdzie, spostrzegła z wysokości wieży Delfina biegającego po ogrodzie; lecz za pierwszym znakiem, który dała synowi nadbiegł Simon i zabrał dziecię do domu.

Mimo to jednak widziała syna, a dla matki było to wiele.

Prawda, że biedny mały więzień blady był i zmieniony, że jak dziecię ludu ubrany był w kaftan i grube spodnie, lecz zostawiono mu

jego piękne wijące się blond włoski, co mu okalały czoło niby jutrzenka, które Bóg chciał, aby to męczeńskie dziecię przyniosło z sobą do nieba.

Gdyby więc ta matka choć raz jeszcze mogła widzieć syna, jakążby to radość sprawiło jej sercu!

A nadto inna jeszcze okoliczność miała miejsce.

— Moja siostro — rzekła jej księżna Elżbieta — wiadomo ci, żeśmy znalazły na korytarzu źdźbło słomy natknięte w róg muru, co w języku naszych znaków powiada, abyśmy się miały na baczności, bo przyjaciel zbliża się ku nam.

— Prawda — odpowiedziała królowa, która litośnie patrząc na siostrę i córkę dodawała sobie odwagi, aby nie zwątpić o swem ocaleniu.

Po dopełnieniu wszelkich warunków służby na wieży, Maurycy tym większym był panem służby Temple, że los przeznaczył go na dzień, kiedy przeciwnie dwaj inni urzędnicy Agrikola i Mercevault mieli odbywać służbę w nocy.

Urzędnicy schodzący ze służby pozostawiwszy radzie w Temple swe zeznania, udali się do domów.

— A cóż! obywatelu urzędniku? — rzekła stara Tison witając Maurycego — jak uważam przyprowadziłeś z sobą gości, aby im pokazać nasze gołąbki? Mnie tylko biednej nie wolno widywać mojej kochanej Heloizy.

— Są to moi przyjaciele — rzekł Maurycy — którzy nigdy nie widzieli wdowy Kapet.

— Ah! za szklanemi drzwiami będzie im najlepiej.

— Prawda — powiedział Morand.

— Szkoda tylko — powiedziała Genowefa — że będziemy wyglądać na kształt owych okrutnych ciekawych, którzy z drugiej strony przypatrują się męczarniom więźnia.

— No! to czemużeś obywatelu, nie umieścił twych przyjaciół na przechodzie wiodącym na szczyt wieży, bo uwięziona przechadza się tam dziś z siostrą i córką, o! bo jej to zostawili córkę, a mnie com nic nie winna, moją odebrali. O! niech co chce będzie, obywatelu Maurycy, ale tych arystokratów zawsze obsypują łaskami.

— Ale i jej odebrali syna — odrzekł Maurycy.

— O! gdybym miała syna — szepnęła ceklarka, sądzę, że nie tyle żałowałabym córki.

Genowefa tymczasem zmieniła kilka spojrzeń z Morandem.

— Mój przyjacielu — powiedziała do Maurycego — obywatelka słusznie mówi. Wolałabym, abyś mię mógł umieścić na przejściu Maryi Antoniny, stąd przykro mi jakoś patrzeć na nią. Zdaje mi się, że ten sposób przypatrywania się uwięzionym jest zarazem upokarzający dla mnie i dla nich.

— Dobra Genowefo! — rzekł Maurycy — jakiż to piękny dowód delikatności z twej strony?

— Do licha! obywatelko — zawołał kolega Maurycego, który w przedpokoju zajadał chleb z kiełbasą — gdybyś była uwięzioną, a wdowa Kapet chciała cię widzieć, nie robiłaby pewno tyle ceremonii dla dogodzenia swemu zachceniu, ta łotrzyca!

Genowefa, szybsze jak błyskawica rzuciła spojrzenie na Moranda, pragnąc dostrzedz jakiego dozna wrażenia słysząc te obelgi.

W rzeczy samej Morand zadrżał; jakiś szczególny, że tak powiemy fosforyczny ogień trysnął mu z oczu, na chwilę zacisnął pięści; lecz wszystkie te oznaki tak były nagłe, że przeminęły niepostrzeżone.

— Jak się nazywa ten urzędnik? — spytała Maurycego.

— Jest to obywatel Mercevault — odpowiedział młodzieniec.

A potem, jakby dla uniewinnienia jego grubiaństwa, dodał:

— Jest to kamieniarz.

Marcevault usłyszał i z pod oka spojrzał na Maurycego.

— Pójdźmy! pójdźmy! obywatelu Maurycy — powiedziała Genowefa — tam gdzieś nas obiecał zaprowadzić; tu, zdaje mi się, żem także uwięziona, tu duszno mi..

Maurycy wprowadził Moranda i Genowefę, a placówki uprzedzone przez Lorina, bez trudności ich przepuściły.

Umieścił ich w wązkim korytarzu na wyższem piętrze, tak, że w chwili gdy królowa z księżną Elżbietą i córką iść miały na galeryę, musiały koniecznie tuż obok nich przechodzić.

Że przechadzka nastąpić miała o godzinie dziesiątej, do której brakowało już tylko kilka minut, Maurycy więc nietylko opuścił swych przyjaciół, ale nadto, aby ten krok wolny od wszelkiego pozoru nieprawości, nie ściągnął na siebie najmniejszego podejrzenia, spotkawszy Agrikolę, wziął go z sobą.

Wybiła dziesiąta.

— Otworzyć! — krzyknął z dołu wieży głos w którym Maurycy poznał głos generała Santerre.

Natychmiast straż wystąpiła, pozamykano bramy, posterunki obejrzały broń.

W całej wieży słychać było brzęk żelaza, kamieni i kroki, których odgłos mocne sprawił wrażenie na Morandzie i Genowefie, gdyż Maurycy dostrzegł, że oboje pobledli.

— Ileż to ostrożności w pilnowaniu trzech kobiet! — szepnęła Genowefa.

— Prawda — rzekł Morand z wymuszonym uśmiechem. — Jeżeliby ci co chcą ułatwić im ucieczkę, byli tu na naszem miejscu i widzieli co my widzimy: toby ich strasznie zniechęciło.

— W rzeczy samej — powiedziała Genowefa — zaczynam mniemać, że one stąd niezdołają umknąć.

— A ja, mam tego niepłonną nadzieję — odrzekł Maurycy.

To powiedziawszy, wychylił się za baryerę i dodał:

— Baczność! otóż i uwięzione.

— Wymień mi je — mówiła Genowefa — bo ich nie znam.

— Dwie co idą naprzód są to siostra i córka Kapeta. Ostatnia zaś przed którą biegnie mały piesek, jest to Marya Antonina.

Genowefa postąpiła krok naprzód, ale Morand przeciwnie, zamiast patrzeć przycisnął się do muru.

Usta jego bledsze były od ścian wieży.

Genowefa w białej sukni, z pięknem swem i czystem okiem, zdawała się być aniołem oczekującym na uwięzione dla przyświecenia gorzkiej drodze, jaką przebiegały, dla wlania odrobiny radości w ich serca.

Księżna Elżbieta i królewska córka przeszły, rzuciwszy na obecnych pełne zdziwienia spojrzenie; pierwszej stanęło zapewne na myśli, że ich to zapowiadały im znaki, żywo bowiem obróciła się ku królewskiej córce, ścisnęła jej rękę i upuściła chustkę dla uprzedzenia królowej.

— Uważaj siostro — rzekła — upuściłam chustkę.

I szła dalej z młodą księżniczką.

Królowa, o której słabości świadczył trudny i powolny oddech, oraz lekki kaszel, schyliła się aby podnieść chustkę co u nóg jej leżała, lecz szybszy niż ona mały piesek porwał ją i poniósł księżnie Elżbiecie.

Królowa więc szła dalej na górę i wstąpiwszy na kilka schodów znalazła się tuż wobec Genowefy, Moranda i młodego urzędnika.

— O, kwiatki! — rzekła — jakżem ich dawno już nie widziała. Jakże pięknie pachną i ileż pani jesteś szczęśliwą, że je posiadasz!

Szybka jak myśl, którą uderzyły te bolesne słowa, Genowefa wyciągnęła rękę podając bukiet królowej.

Wówczas Marya Antonina podniosła głowę, spojrzała na nią i zaledwie dojrzane kolory wystąpiły na blade jej czoło.

Atoli, Maurycy powodowany jakimś naturalnem poruszeniem, nawykły do biernego posłuszeństwa dla przepisów, również wyciągnął rękę i wstrzymał Genowefę.

Królowa stanęła wahając się i spojrzawszy na Maurycego, poznała w nim młodego urzędnika, który zwykle przemawiał do niej seryo lecz z uszanowaniem.

— Czy nie wolno, panie? — spytała.

— Owszem, owszem pani — rzekł Maurycy. — Genowefo możesz ofiarować twój bukiet.

— Dziękuję, dziękuję ci panie! — z żywą wdzięcznością zawołała królowa.

I z całą uprzejmością ukłoniwszy się Genowefie, Marya-Antonina wychudłą ręką zerwała pierwszy lepszy goździk z podanego sobie bukietu.

— Bierz pani wszystkie, proszę — bojaźliwie rzekła Genowefa.

— Nie — z zachwycającym uśmiechem odpowiedziała królowa — może ten bukiet pochodzi od osoby którą kochasz, nie chcę cię zatem pozbawiać go.

Genowefa zarumieniła się, a rumieniec ten wywołał uśmiech na usta królowej.

— No, no! obywatelko Kapet — rzekł Agrikola — trzeba ruszać dalej.

Królowa skłoniła się i poszła, lecz nim znikła jeszcze się raz obróciła szepcząc:

— Jakże ten goździk mile pachnie i jak ta kobieta jest piękną!

— Nie widziała mię — mruknął Morand, który przyklęknąwszy prawie w kącie korytarza nie zwrócił na się uwagi królowej.

Ciąg dalszy nastąpi).

DZIAŁ KOBIECY.

ELIZA ORZESZKOWA.
Listy do pani *** o niektórych drobiazgach, które drobiazgami nie są, słów kilkoro.

I.

O złych humorach.

Droga i dobra moja!

Dziwne czasem bywają na świecie zdarzenia. W tej właśnie chwili, gdy mię wezwałaś, abym o czemkolwiek, tyczącem się domu i domowego życia, napisała, myśl mą zajmował pewien fenomen psycho-fizyologiczny, który za drobiazg uchodzi, a drobiazgiem nie jest wcale, lecz owszem znakomicie przyczynia się do zepsucia, zatrucia, zgoryczenia życia ludzkiego wogóle, a domowego w szczególności.

Fenomenem tym są dość pospolite u kobiet naszych tak zwane: *złe humory*.

Gatunek, że tak powiem, kolor i ton złego humoru zależy od temperamentu posiadaczki, od ilości żółci, którą zaprawiony jest jej organizm, od większej lub mniejszej śmiałości w objawianiu się, większej lub mniejszej przemyślności w sposobach kłucia ludzi w oczy i w serca.

Jedna ze szczęśliwych (i uszczęśliwiających!) posiadaczek fenomenu, w chwilach jego przystępu, słowem bujnem i głosem ostrym wszystko na kuli ziemskiej istniejące sądzi, karci, gani, miażdży, gruchoce, potępia; inna z cicha od niechcenia sypie z ust gradzik krótkich szpileczek w postaci tak zwanych docinków; inna jeszcze przyobleka się w pozory znękanej, acz cierpliwej ofiary wszystkiego, co ją otacza; a inna staje się grobem, w którym pogrzebany smutek niezgłębiony i nieuleczalny, — jeżeli z konieczności wydaje z siebie głos, to jakby z pod ziemi wychodzący, tak posępny, głuchy, martwy, beznadziejny.

Powiedzieć można, że złe humory dzielą się na cztery działy główne, któremi są: głośny i wszechświat ogarniający gniew; cicha, lecz w szpilki obfitująca uszczypliwość; grobowa ponurość — i łagodna, lecz wszelkie pociechy tego świata ze wstrętem odtrącająca melancholia. Są jeszcze i poddziały, lecz krótko mówić mając, to tylko powiem, że wszystkie działy i poddziały, z osobna czy razem wzięte, są puszką Pandory, z której na życie domowe wysypują się: mróz, słota, wojna i inne różnorakie klęski.

Na życie domowe, — bo towarzyskie mniej od tej puszki cierpi, jakkolwiek cierpi także. Ale tam gwar, rozmaitości, zabawa, mniejsze czy większe święto życia. Łatwiej coś znieść, łatwiej czegoś nie dostrzedz, łatwiej z czegoś niedbale sobie zażartować. Ale w domu i w dzień powszedni... Cisza, praca, w szarem powietrzu rozpylone troski, może obawy i smutki. Na szczęście, są w dniu momenty, gdy praca ustaje, ciszę napełniają rozmowy przyjacielskie, poufne, niekiedy wesołe, w szarą powszedniość wsącza się złoty miód rodzinnych uczuć, zwierzeń i pocieszeń.

Otóż wyobraź sobie, droga moja, jeden z momentów takich.

Połowa pracowitego dnia, stół obiadowy. Z trochą wyczerpania w mózgach, z trochą czarnych pyłków na sercach, z trochą bolu w nerwach czy w muskułach, kółko domowe zgromadza się dokoła obiadowego stołu. Tu będzie odpoczynek, gawędka swobodna i serdeczna. Tu wszyscy wszystko jedni drugim opowiedzą i powierzą, jedni od drugich pomocy i rady zażądają; jeżeli na coś poskarżyć się, poskarżą; jeżeli co komu przebaczyć, przebaczą.

Wszak w jednych ścianach żyjąc, sprzymierzeńcami są w tej walce, współpracownikami w tym trudzie, współtowarzyszami w tej uczcie nieosobliwej, której na imię — życie.

Cóż jednak, skoro jedna z osób, kółko domowe składających, dziś o tem wszystkiem wiedzieć, ani słyszeć nie chce. Ona dziś nikogo wogóle widzieć i niczego wcale słuchać nie chce. Usiadła do stołu z pochwyconą kędyś na prędce książką w ręku i w przerwach pomiędzy jedzeniem, a nawet w czasie jedzenia, z czołem zmarszczonem i surowemi usty zatapia w niej wzrok i uwagę. Niby nic, jednak wszyscy rzucają ku niej spojrzenia niespokojne.

Co się stało? Wczoraj, dziś nawet jeszcze była mowną, miłą, troskliwą, serdeczną. Czy co zaszło? Obraza? Strata? Choroba? Zmartwienie?

Daremnie pytać — nie odpowiada...

Ale otóż odpowiada: cóżby stać się, co zajśćby mogło? Nic wcale. Czuje się jak zawsze. Spodziewa się, że nic przykrego nikomu nie uczyniła, ani rzekła? I rzeczywiście nic się nie stało, nic nie zaszło, nic nie uczyniła, ani rzekła. Tylko w głowie rozdrażnienie dźwięczy, w oczach mi-

gocą złe iskry. Tylko jest w złym humorze i dlatego ma taki pozór, jakby nagle i niespodziewanie, w ostatniej godzinie upłynionej, znienawidziła otaczających, głęboko nimi i wszystkiem, co ich, wzgardziła, a rozkochała się w książce, którą, jak puklerzem, zasłania się przed ich widokiem i przed ich rozmową.

Niby nic, a na obecnych jakby wiatr z pod chmury powiał. Oto szmatek błękitu, który ukazał się wśród dnia szarego, chmura powlekła. Ona przejdzie, prędzej czy później przejdzie, zniknie; wiedzą o tem wszyscy. Ale tymczasem dokoła stołu rodzinnego usta milkną, czoła posępnieją. Nie podobna przecież opowiadać swobodnie, śmiać się czy żalić, nadewszystko czegoś żądać, o coś prosić wobec tej chmury. Zimno. Temperatura spada, spada, spada coraz niżej, już jest na zerze. Mróz. Opuszczając stół rodzinny, niektórzy czują, że są trochę nieszczęśliwsi, niż byli przedtem, — niektórzy, że więcej zmęczeni, — niektórzy, że gorsi.

To tylko jeden kolor złego humoru. Są inne i różne następstwa sprowadzają.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dom i kuchnia.

Barszcz ukraiński.

Ugotować rosół, z kości — dodać parę grzybów. Pół godz. przed podaniem dodać do barszczu pokraj. ziemniaków — fasoli szparagowej — kapusty sparzonej — 2 pomidory — 1 burak ćwiklany — parę szparagów — kalafior — kopru. Wszystko drobno pokrajane — zalać rosołem i gotować, gdy miękkie dodać barszczu burakowego, lub żytniego — usmarzyć na maśle cebulę posiekaną — dać do tego pół łyżki mąki — gdy się zasmarzy, wlać do barszczu — niech się razem gotuje — wreszcie do wazy wlać śmietany, żółtko — zalać kipiącem barszczem.

Wyborna babka piaskowa.

Utrzeć w donicy: 1 f. mąki kartoflanej, 1 f. masła niesolonego, 1. f. cukru pudru i 8 żółtek, dodając do masła powoli wszystkiego, na końcu pianę z 8-miu białek i trochę wanilii. Wymieszawszy wszystko dobrze, dodać małą ilość araku, w którym rozpuszczono kawałek drożdży. Wszystko wlać w formę i wstawić w gorący piec na godzinę. Trzyma się ta babka świeżo tygodniami nieraz.

Suflet.

Jabłka pieczone lub dobrze rozgotowane, pianę kilku białek, dodać cukru, wymieszać i wypiec.

Lody morelowe.

Sztuk 15 lub 16 zupełnie dostałych moreli podzielić na połówki odrzucając pestki, i przetrzeć przez gęste sitko. Oddzielnie 5 żółtek utrzeć z pół f. cukru (pudru), dodać pół kwarty reńskiego wina, oraz przetarte morele, a przy końcu pół kwarty słodkiej śmietanki mocno ubitej. Wszystko doskonale wymieszać, złożyć w maszynkę od lodów i zamrażać, jak zwykle wszystkie lody.

Krem „Klary" (na 10 osób).

Kwartę śmietanki dobrej — mocnej kawy — kwat. cukru — 15 listków żelatyny — ubić śmietankę, dodając resztę po troszku — wreszcie lać do formy i na zimno.

Wódka zielona majowa.

Zbliża się pora, kiedy na krzakach czarnych porzeczek rozwijają się młode liście. Te zebrać i napełnić nimi butelkę, na nie nalać spirytusu czystego 90 proc., zakorkować butelkę i postawić w suchej śpiżarni. Po sześciu tygodniach zlać spirytus. Wziąć na pół kwarty spirytusu zlanego funt cukru w kryształach, zrobić z niego syrop, dodając jedną szklankę wody, rozpuścić (byle nie zagotować) na wolnym ogniu. Gdy już cukier jest zupełnie rozpuszczony, zdjąć rondelek z ognia powoli do gorącego syropu dolać zielony ów spirytus, dobrze z syropem wymieszać i zaraz ciepły cedzić przez watę oczyszczoną do suchych białych butelek, w których wódka o pięknym zielonym kolorze ładnie się przedstawia. Jeżeli jako wódka dla mężczyzn wyda się za słodką, to wziąć cukru na syrop nieco mniej. Ten rodzaj wódki ma swój odrębny zapach najsilniejszy na wiosnę.

Leczenie czarnych kropek na nosie i twarzy.

Chcąc je usunąć, trzeba codzień przez czas dłuższy, prowadzić następującą kuracyę: Umyć twarz czystą, przegotowaną, wystudzoną wodą, potem namydlić dobrem przetłuszczonem mydłem, spłukać mydło wodą, do której dolewa się trochę wody kolońskiej. Następnie wziąć pół cytryny, obranej ze skórki, przykryć w miejscu rozkrojonem cienkim płatkiem płóciennym i nacierać cytryną przez płótno miejsca, gdzie się rozsiadły czarne punkciki, a na zakończenie obmyć twarz wodą przegotowaną przestudzoną, z dodatkiem odrobiny krochmalu ryżowego.

HUMORYSTYKA

Dziadek.

— Powinszuj mi pan. Zostałem dziadkiem. Córka urodziła mi syna.

— Jakże tam poszło, gładko?

— Co za pytanie? Czy to moja córka nie skończyła gimnazyum z odznaczeniem?

Dobry zięć.

Teściowa. Ty mnie wcale nawet nie lubisz Alfredzie. Co innego mąż Zosi, wczoraj przyniósł mi doniczkę lewkonii, on wie, że ja tak lubię kwiaty.

Zięć. Ażeby dowieść, żem nie gorszym zięciem niż Alfred, gotów jestem kochanej mamie ofiarować choć w tej chwili nawet wieniec żałobny.

Satysfakcya.

Wśród lasu ma nastąpić pojedynek. Zgroza co to będzie! Sekundanci obadwaj pojednawczego usposobienia, drgają nerwowo, widocznie z nadmiaru odwagi. Przeciwnicy stoją na miejscach, i już ma się ozwać fatalne „raz, dwa, trzy“, gdy jednemu z nich krew poczyna iść z nosa.

Wobec tego świadek jeden odzywa się do zebranych:

— Panowie, zdaje mi się, że honorowi stało się zadość. Wszak było ułożone, że pojedynkujemy się do pierwszej krwi.

Uległy.

Sędziwa pani X. rozmawia z siostrzeńcem swoim o testamencie i powiada:

— Zatem, to już ułożone, mój drogi Aloyziu. Oddaję tobie cały mój majątek pod jednym, jedynym warunkiem, że będziesz mi wypłacał niewielką pensyjkę.

— O, moja droga ciociu, tak niewielką, jak tylko ciocia każe!...

Mąż jest zawsze panem domu, a osobliwie wtedy kiedy żony w domu nie ma.

Zapamiętały grzesznik.

Ksiądz: Człowiecze, i ty się piekła nie boisz? Już widzę, jak szatan będzie szarpał twoją grzeszną duszę.

Chory: Ho, ho! księże proboszczu, kto tak, jak ja przez lat czternaście mieszkał pod jednym dachem z swoją teściową, ten już piekła z pewnością się nie przelęknie...

Ważny powód.

— Cóż, czy mi pan nareszcie zapłaci należność za komorne, już dłużej czekać nie będę, jestem zmuszony usunąć go z mieszkania.

— Panie gospodarzu, chciej wejść w moje położenie, jestem goły jak turecki święty...

— Mój panie, właśnie dla tego proszę o opuszczenie lokalu; wszak pismo święte powiada, iż Adam wypędzony z raju został jedynie za biedę. Nie możesz pan wymagać, abym był łagodniejszy od aniołów.

Także pocieszenie.

— Kochany mężu — prawi urocza bankierowa do swego małżonka — twój kasyer, którego miałeś za człowieka uczciwego...

— Na Boga! co się stało?

— Zrobił mi wyznanie miłosne.

— No, Bogu dzięki! myślałem, że drapnął z kasą.

Nieszczęście.

— A, wstydź się! Słyszałem, żeś się ożenił i nawet nie poprosiłeś mnie na wesele.

— Przebacz, nie myślałem, abyś ty jako przyjaciel, chciał być świadkiem mego nieszczęścia.

W aptece.

— Któż wam to tę receptę nabazgrał?

— Niek tez panu japtykorzowi nie będzie markotno, bo tez to ten reczepisz nie doktur pisał, jeno jeden człowiek.

Redaktor odpowiedzialny na Galicyą Marjan Hupczyc w Krakowie. Czcionkami „Dziennika Poznańskiego“.
Wydawca A. Marweg w Poznaniu. Redaktor odpowiedzialny Józef Zieliński w Poznaniu.